

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 3 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor., 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts. — Rocznie 4 dol. 50 cts.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

Redakcya i administracya KRAKÓW XV.
Nowowiejska 83 (dom własny) **Telefon Nr. 479.**

Redaktor naczelny: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, w Warszawie, Aleja Jerozolimska 78.
Prenumeratę przyjmuje Biuro **UNGRA** w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok VIII. Kraków, 18 marca 1911. Nr. 11.

Tragedya w koszarach.

(Treść na str. 2).



Nr. 11. „Nowości illustrowanych“ zawiera: Echa politycznej zbrodni. — Wśród głuchoniemych we Lwowie. — Seminaryum strażackie. — Oryginalne poszukiwania. — Olbrzymi proces. — Niezwykły jubileusz. — Tragiczny koniec podróżnika. — Zgon znakomitego poety i powieściopisarza włoskiego. — „Niebezpieczna szkoła“. — Weteran-jubilat. — 90-lecie urodzin regenta Bawaryi. — Święta figa. — Dobrana para.

Tragedya w koszarach.

(Do illustracyi tytułowej.)

Nieostrożne obchodzenie się z bronią było już wielokrotnie przyczyną strasznych, wstrząsających wypadków, kosztowało już niejedno życie ludzkie. Mimo to trudno wpoić w ludzi, nawet dojrzałych i obznajomionych z obchodzeniem się z bronią, przekonanie, że wszelkie igraszki ze strzelbami, karabinami, rewolwerami są zawsze niebezpieczne, że więc ich stanowczo wystrzegać się trzeba.

Fatalnem następstwem nieostrożnego obchodzenia się z bronią było niedawno ogromnie tragiczne zajście w koszarach obrony krajowej w Gracu. Oto jednoroczny ochotnik Tarapanowicz włożył celem wypróbowania karabinu ostry nabój do lufy i zmierzył w stronę drzwi. W tej chwili drzwi się otwarły i w progu stanął serdeczny przyjaciel Tarapanowicza, również jednoroczny ochotnik, nazwiskiem Orkan. Równocześnie pociągnął Tarapanowicz zupełnie bezwiednie za cyngiel, wskutek czego karabin wypalił i kula przeszyła Orkana. Nieszczęśliwy padł trupem na miejscu.

Łatwo sobie wyobrazić przerażenie i rozpacz Tarapanowicza na widok słaniającego się po strzale a następnie padającego bezwładnie na ziemię przyjaciela. Pod wpływem żalu skierował Tarapanowicz morderczą broń ku własnej piersi, chcąc pozbawić się życia, koledzy jednak, którzy na odgłos strzału wpadli do izby, zdołali przeszkodzić temu i odebrać broń z ręki zrozpaczonego Tarapanowicza.

Władze wojskowe wszczęły w tej sprawie surowe dochodzenia, winowajca zaś został uwięziony.

Nasza rycina tytułowa przedstawia tragiczną scenę, gdy Tarapanowicz mimowolnym wystrzałem kładzie swego przyjaciela trupem.

Seminaryum strażackie.

W rozwoju naszego pożarnictwa krajowego, stojącego już dziś dzięki usilnym staraniom związku ochotniczych straży pożarnych bardzo wysoko, zanotować trzeba nowy a wielki krok naprzód. Zawdzięczać go należy seminaryum strażackiemu, jak nazwano ostatni kurs strażacki, urządzony we Lwowie pod patronatem krajowego związku, na prośbę komendy lwowskiej straży ochotniczej, a przeznaczony nie na wyszkolenie strażaków, lecz raczej na wykształcenie komendantów oddziałowych i instruktorów straży pożarnych.

Seminaryum to, pod kierunkiem pp. Szczerbowskiego i Baczyńskiego, trwało półtrzecia miesiąca; uczniów było 16. doświadczonych już i wyszkolonych strażaków. Na zakończenie nauki odbył się na strażnicy miejskiej egzamin, który miał wykazać, o ile uczestnicy odnieśli korzyść z wykładów i o ile kurs taki dałby się zastosować także w innych korpusach strażackich. Istotnie egzamin i popis wypadły bardzo dodatnio, kandydaci na wszystkie pytania odpowiadali trafnie i przytomnie.

To też spodziewać się należy, że związek krajowy skorzysta z zebranych doświadczeń i wszedłszy raz na tę drogę, nie zaniecha jej, lecz kontynuować będzie także w innych częściach kraju, gdzie na polu pożarnictwa wiele jeszcze pozostaje do zdziałania.



Wśród głuchoniemych we Lwowie: Część wychowanków i wychowanic zakładu głuchoniemych z gronem nauczycielskiem i dyrektorem zakładu p. Meybaumem (X).



Seminaryum strażackie: Grono uczestników kursu instruktorów i komendantów strażackich we Lwowie.

(Fot. M. Münz, Lwów.)

Wśród głuchoniemych we Lwowie.

Od wielu lat istnieje we Lwowie przy ul. Łyczakowskiej zakład wychowawczy głuchoniemych, w którym corocznie znajduje pomieszczenie pokaźny zastęp młodzieży obojga płci i pod kierunkiem specyalnie w tym celu wykształconych nauczycieli pobiera tam podstawowe wykształcenie a nadto przygotowanie do jakiegoś praktycznego zawodu. Z zakładu tego wyszło już bardzo wielu ludzi, którzy obecnie pracują na własne utrzymanie i są pożytecznymi członkami społeczeństwa.

Otóż w zakładzie tym odbyły się niedawno dwie zabawy. Jedna dla starszych głuchoniemych, byłych wychowanków zakładu, druga dla młodzieży, obecnie w zakładzie przebywającej. W zabawie starszych wzięło udział liczne grono głuchoniemych, uradowanych, że mogli w gronie dawnych kolegów i nauczycieli spędzić kilka miłych chwil. Wesołe i rozpromienione twarze świadczyły wymownie o zadowoleniu zebranych, świadczyły też o tem, iż dzień ten długo pozostanie im w pamięci.

Program zabawy wychowanków obejmował żywe obrazy, przedstawienie amatorskie sztuczki mimicznej oraz tańce. Cała zabawa powiodła się doskonale i świadczyła dobitnie o wysokiej wartości systemu wychowawczego, stosowanego w lwowskim zakładzie głuchoniemych. Zebrane licznie rodziny wychowanków zakładu patrzyły z szczerą wdzięcznością dla kierowników instytucyi na swobodną zabawę swoich ukochanych a tak nieszczęśliwych, czerpiących w zakładzie prócz podstaw wiedzy także zasady miłości chrześcijańskiej i etyki.

Gronu nauczycielskiemu zakładu głuchoniemych, w szczególności dyrektorowi Meybaumowi i prof. Niedźwiedzkiemu, należy się szczere i głębokie uznanie za ich pełną ofiarności pracę dla dobra nieszczęśliwych kalek.



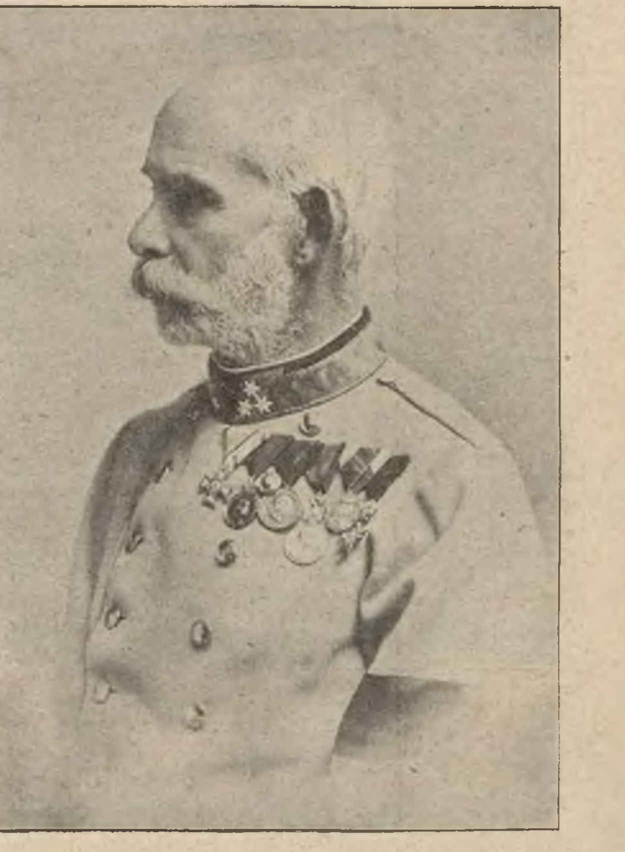
Wśród głuchoniemych we Lwowie: Dziatwa z zakładu głuchoniemych, która uczestniczyła w przedstawieniu amatorskiem, z prof. Niedźwiedzkim w pośrodku.

Rzadki jubileusz.

W dniu 10 marca b. r. obchodził tak popularny w całej Austryi, a w szczególności we Wiedniu, arcyksiążę Rainer pięćdziesięcioletni jubileusz, jako kurator cesarskiej Akademii Umiejętności, dla której był prawdziwym opiekunem i dobrodziejem przez cały prawie czas jej istnienia. Nazwisko jego zapisało się też złotemi głoskami na kartach jej historyi, półwiekowa jego działalność kuratorska była nader obfitą w skutki i śmiało można powiedzieć, iż najpoważniejsza ta instytucya naukowa w Austryi rozkwit swój, w jakim się dziś znajduje, zawdzięcza przeważnie właśnie Arcyksięciu, który nie szczędził nigdy ani pracy ani środków materyalnych, ilekroć chodziło o poparcie jej celów.

Od chwili założenia, które przypada na r. 1848, arcyksiążę Rainer zajmował się żywo sprawami Akademii, w szczególności zaś zajęły go jej losy od czasu, gdy z woli monarchy został jej kuratorem. Obowiązki, jakie z tym urzędem są połączone, wypełniał dostojny mecenas sztuk i umiejętności z całem oddaniem się sprawom instytucyi i nie ograniczył się bynajmniej do czczych formalności reprezentatywnych, owszem, występował zawsze jako jej prawdziwy przyjaciel i opiekun.

Rozwój austryackich umiejętności zajmował zawsze arcyksięcia Rainera, nie pominął też żadnej sposobności, aby dać wyraz swej miłości dla kraju, ludu i rozwoju sztuk i nauk, choćby to było połączone nawet z pewnemi ofiarami z jego strony. Dając wyraz temu, zakupił też z własnych funduszów w r. 1884 nader cenny zbiór rękopisów znanego egiptologa Grafa i ofiarował go w darze wiedeńskiej bibliotece nadwornej, aby umożliwić korzy-



Rzadki jubileusz: Arcyksiążę Rainer, od lat pięćdziesięciu kurator wiedeńskiej Akademii Umiejętności.

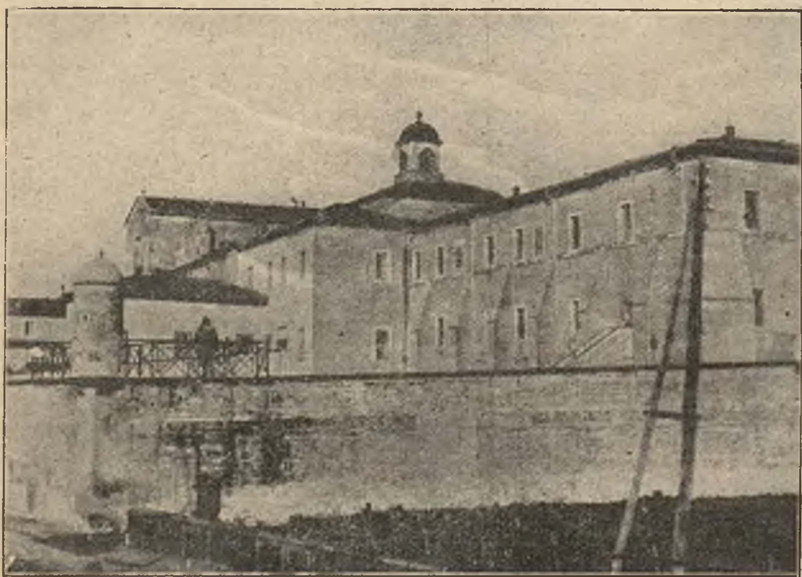


Oryginalne poszukiwania: Dr. Orville Owen kieruje robotami, mającemi na celu znalezienie w rzece Wye rękopisów Bacona.

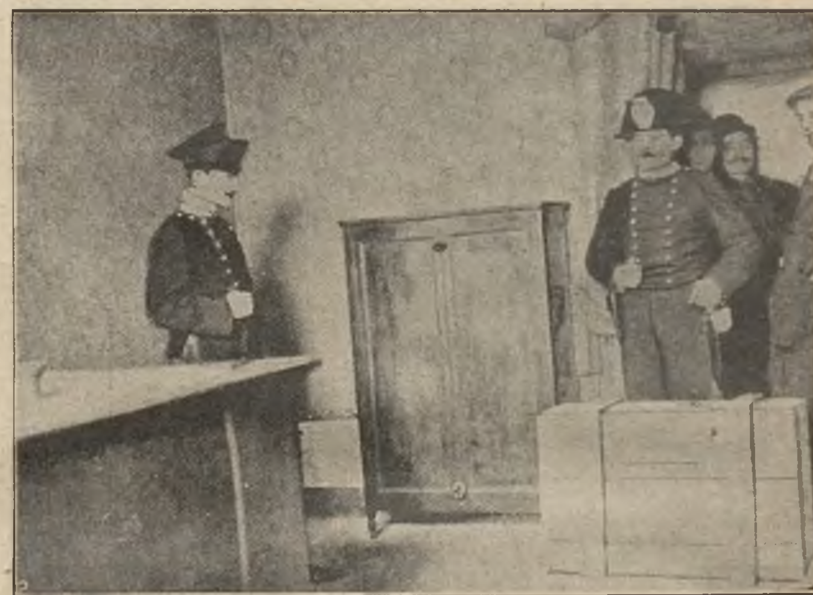
stanie z niego najszerszym warstwom pracującym na polu naukowem.

Do wieńca wawrzynowego, który ozdabia skroń sędziwego dostojnika, prawdziwej chluby Habsburskiego rodu, przybywa jeden liść więcej, wiedeńska Akademia imię jego w wdzięcznem uznaniu przekaże potomności, jako wzór godny naśladowania. Rzadko który z członków domu panującego może się poszczycić tylu „cywilnemi" zasługami, co dostojny Jubilat, który na kartach dziejów Austryi zajął nader poczestne miejsce, jako były prezydent austryackiej Rady państwa, jeden z pierwszych konstytucyjnych prezydentów austryackiego gabinetu i kurator wiedeńskiej Akademii Umiejętności.

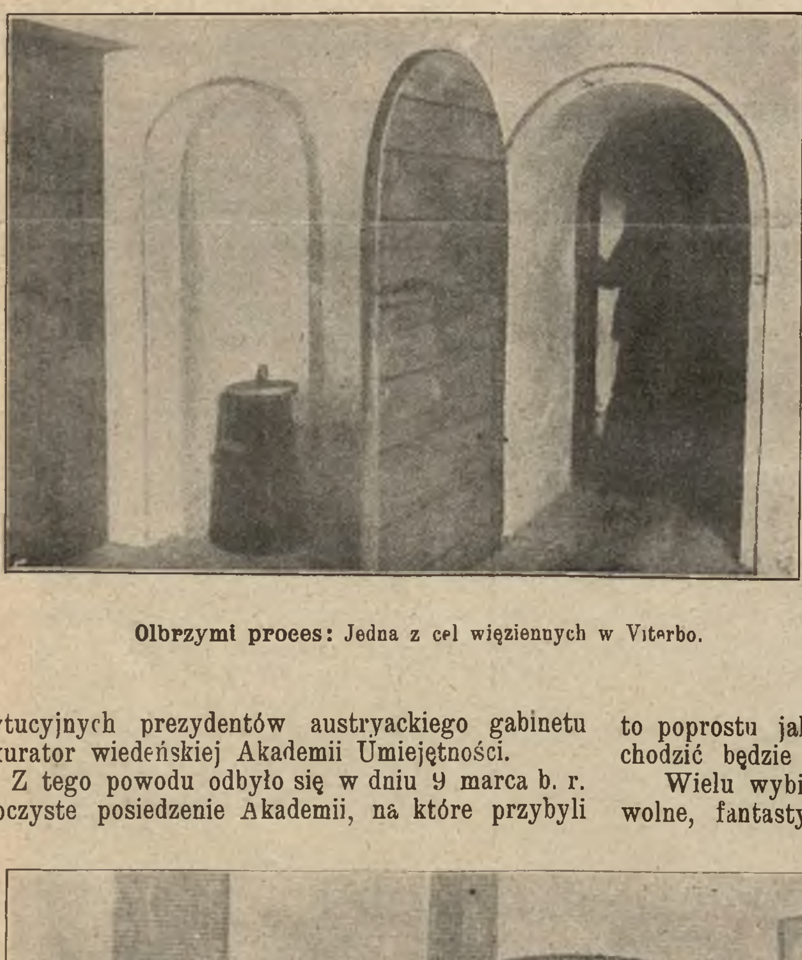
Z tego powodu odbyło się w dniu 9 marca b. r. uroczyste posiedzenie Akademii, na które przybyli wszyscy bawiący we Wiedniu arcyksiążęta, przedstawiciele władz i świata naukowego, a cesarz Franciszek Józef wystosował do sędziwego Jubilata nader serdeczne pismo odręczne, podnoszące jego wybitne zasługi dla państwa i kraju.



Olbrzymi proces: Więzienie w Viterbo.



Olbrzymi proces: Skrzynia z dokumentami i jej strażnicy.



Olbrzymi proces: Jedna z cel więziennych w Viterbo.

Oryginalne poszukiwania.

Teorya, że Szekspir nie jest autorem dzieł znanych jako jego spuścizna literacka, pokutuje wciąż jeszcze w świecie literacko-naukowym. Mniej lub więcej wykształceni „badacze" silą się na coraz dziwaczniejsze hipotezy i zużywają ogromny zasób energii na ich udowodnienie. Najwięcej zwolenników miał i ma lord Bacon, chociaż trzeźwemu empirykowi i nie gardzącemu łapówkami statyście trudno przypisać olbrzymią fantazyę twórczą, potrzebną do stworzenia Hamleta lub króla Leara. Zresztą wartość tych kombinacyi łatwo ocenić z tego, że pierwszem ich źródłem było... objawienie, jakie miała pewna zwaryowana miss, a następnie ugruntowane zostały one porównaniem języka Bacona i Szekspira, którzy — o dziwo! — obaj używają zwrotów, jak good morning, farewell i t. p. Równie przekonywującym argumentem bakonistów są anagramy, znajdywane przez nich w dziełach obu autorów lub innych pisarzy z epoki Elżbiety. Jest to poprostu jakaś epidemia, która niezadługo obchodzić będzie stuletni swój jubileusz...

Wielu wybitnych krytyków zwalczało już dowolne, fantastyczne wywody zwolenników autorstwa werulamskiego kanclerza i dostatecznie wykazali ich bezpodstawność. Mimo to występują raz po raz ludzie wykształceni i nawet zdolni, którzy lata mrówczej pracy poświęcają udowodnieniu tej hipotezy, pogrzebanej dawno w opinii naukowego świata. Jednym z podobnych maniaków jest widocznie dr. Orville Owen, który na podstawie kilku zdań z „Arkadyi" sir Filipa Sidneya i winiety tej książki twierdzi, że Bacon prócz znanych dzieł filozoficznych napisał nietylko wszystkie dramaty i liryki szekspirowskie, lecz także utwory Greene'a, Marlowe'a, Spensera, Peele'a, Sidney'a i Burtona, że nadto Bacon był synem królowej Elżbiety. Papiery, dowodzące swego królewskiego pochodzenia i rękopisy owych dzieł miał rzekomo kanclerz złożyć do skrzyń, oblanych smołą i owiniętych nieprzemakalną tkaniną i zatopić w rzece Wye koło Chepstow.

Dr. Owen rozpoczął tedy poszukiwania w łożysku tej rzeki. Poszukiwania te połączone są z ogromnemi trudnościami, gdyż miejsce ich leży blisko ujścia rzeki Wye i przypływ morza nie pozwala prowadzić ich dłużej, niż 50 minut na dobę. Mimo to dr. Owen nie ustaje w swej dzielnej pracy i spodziewa się niezadługo natrafić na „skrzynie, ukryte w mule, jak węgorze", których zawartość zadziwi cały świat cywilizowany, a publiczność angielska niecierpliwie czeka tego epokowego odkrycia. O święta naiwności... uczonych!

Na załączonej rycinie widzimy dra Owena kierującego poszukiwaniami. Obok niego stoi pełnomocnik jednego z angielskich arystokratów, który popiera finansowo pracę pomysłowego badacza.



Olbrzymi proces: „Klatka" dla oskarżonych kamorrystów.



Zawierucha w Meksyku: Prezydent Meksyku Porfirio Diaz.

A. K. GREEN.

Dom pod szumiącemi sosnami.

16 (Ciąg dalszy).

— Bardzo to dla mnie nieprzyjemna historya, ale skoro ją muszę opowiedzieć... To było tak: Poszedłem prosto na Cuthbert Road, a stamtąd polami do klubu. Nie wziąłem ze sobą klucza od drzwi frontowych, ponieważ wiedziałem, że jest tam okno, które da się otworzyć z zewnątrz. Otworzyłem je tedy i poszedłem prosto do piwnicy. Swieciłem sobie własną latarką elektryczną. Wyciągnąłem kilka butelek i zaniosłem je do kuchni; a chciałem gaz zaświecić, ogień rozpalić i urządzić się wygodnie. Jednakże zaraz przekonałem się, że będę się musiał obejść bez światła, jeżeli zostanę. Gaz był odkręcony, a pić przy świetle elektrycznej latarki wcale mi się nie uśmiechało. A przytem — tu spojrzał na swego obrońcę, tak że ten się zmięszał na chwilę — posłyszałem jakieś niewyraźne głosy w domu, co mnie przestraszyło i zaciekawiło. Wybrawszy butelkę z winem, które najlepiej lubiłem, poszedłem przekonać się. co to być może.

Mr. Moffet drgnął. Klient mścił się teraz. Utrzymywany w nieświadomości co do zamiarów obrońcy, wysuwał teraz zeznania, temu obrońcy nieznane. Nie wiedział-m, że chłopak taki jest przebiegły i drżałem teraz na myśl o tem, co z tego wyniknąć może. Zaciekawienie było ogólne. Słyszał jakieś głosy — przyznawał to. Ale co za głosy?

Widząc ogólne wzruszenie i rad może, że spłoszył ten niepożądany uśmiech z ust swego obrońcy, Artur dodał spiesznie:

— Ale nie dokończyłem moich poszukiwań. Wyszedłszy na scho y, posłyszałem to, co spłoszyło mnie odrazu. Był to głos siostry mojej, Adeli. Była w tym domu, na tem samem piętrze, stałem może o kilka kroków od niej, z butelką w kieszeni. Nie upłynęła minuta, a byłem już za oknem. Nie czekałem, zdziwiony, by ją zapytać, co tu robi i z kim rozmawia. Uciekłem poprostu i przedostałem się przez tereny golfowe do małego zajazdu na Cuthbert Road, gdzie już raz przedtem byłem. Tam wypiłem moją butelkę, która tak mi poszła do głowy, że nie wróciłem do domu aż dopiero w południe następnego dnia. W drodze do domu powiedziano mi o strasznym wypadku, który stał się w klubie już po mojem wyściu. To mnie otrzeźwiło. I już odtąd zawsze byłem trzeźwy.

Na usta obrońcy powrócił uśmiech. Wyglądał zadowolony. Sądzę jednakże, że nikt, oprócz mnie, nie zauważył tego. Wszyscy patrzyli na Artura. Wymawiając ostatnie słowa, podniósł głowę i spojrzał na sędziów prosto i otwarcie. Wyraz twarzy jego, siła przekonania w oczach, pomimo nieładnych rysów, robiły wrażenie.

Dziwne jednakże i prawdziwie niezrozumiałe było dziś stanowisko obrońcy. Możnaby mniemać, że umyślnie postanowił zacierać każdy ślad dobrego wrażenia, które nieszczęsny klient jego wywołać zdołał. Ignorując podane fakta, zwrócił się do oskarżonego z następującem pytaniem:

— Czy nie zechciałby nam pan powtórzyć, ile butelek wina wyniosłś pan z klubu?

— Jedną. Nie... nie jestem tego zupełnie pewien... niczego nie jestem zupełnie pewien. W każdym razie jedną tylko miałem ze sobą w zajeździe na Cuthbert Road.

— Jedną tylko przypomina pan sobie?

— Jedną tylko miałem. Jednej i tak było dosyć. I tak z trudem ją doniosłem.

— Czy grunt był śliski?

— Sniegiem pokryty i pełen wybojów. Potykałem się kilka razy, idąc przez tereny.

— Panie Cumberland, czy jest jeszcze może coś, coby pan chciał powiedzieć na swoją obronę, zanim ja skończę moje badanie?

Oskarżony, w ten sposób zapytany, popatrzył przez chwilę na przewodniczącego, potem na sędziów przysięgłych, a wkońcu na drobną, bladą twarzyczkę w tłumie, która wytężała wzrok naprzeciw jego spojrzenia. A potem wyprostował się i spokojnym, zupełnie naturalnym głosem wymówił te proste słowa:

— Nic, oprócz tego, że jestem niewinny.

XXVI.

Nastąpiła pauza. Przewodniczący i ława ustąpili. Miałem sposobność pomówić słów kilka z Cliftonem. On mówił dużo, ja skąpy byłem w słowach. Musiałem ukrywać przed nim prawdziwy powód mojego wzruszenia.

Clifton oburzał się na adwokata.

— On go sam głównie wystawił na ataki. Jeżeli Fox pójdzie dalej, podchwytując ten wątek, wtedy skończona sprawa. Biedny Artur może być winien, ale w każdym razie rzeczą jest jego adwokata starać się zrobić, co można, umiejętną obroną. Sam widzisz — on się z tem nie kryje — że już nie liczy na Moffeta. Ciekaw też jestem, kto mu poradził wziąć Moffeta. Ja sam nigdy go wysoko nie ceniłem. On wygrywa swoje sprawy, ale...

— On wygra i tę — szepnąłem.

Clifton drgnął, przyjrzał mi się uważnie, trochę pobladł — zdaje się, że i ja bardzo byłem blady — ale nie postawił pytania, które mu się widocznie cisnęło na usta.

— Jest metoda w szaleństwie tego człowieka — mówiłem dalej chmurno. — On musiał znaleść jakiś dowód, z którym się przed własnym klientem ukrywa. Przynajmniej lękam się, czy tak nie jest. Musimy być przygotowani na wszelakie niespodzianki.

Tu, widząc przestrach Cliftona, dodałem:

— Mam wrażenie, jak gdybym i ja także, nie sam Artur tylko, stał przed sądem. Naturalnie obawiam się wszystkiego, czego nie rozumiem.

Clifton ściągnął brwi. Byliśmy zupełnie sami. Nachylił się ku mnie i dotknął mojego ramienia.

— Elwoodzie — rzekł — nie byłeś ze mną zupełnie szczery.

Uśmiechnąłem się. A tyle w mem sercu było bólu i goryczy, że i ten uśmiech bolesny i gorzki być musiał.

— Masz prawo wyrzucać mi to — rzekłem — jednak niezupełnie. Powiedziałem ci szczerą prawdę w kwestyi zasadniczej. Możesz w to wierzyć. Nie jestem winien śmierci Adeli, o ile niewinnym zupełnie może być człowiek, który ją i jej bliskich wtrącił w taką niedolę, że śmierć jej dopiero kres położyć mogła.

— Będę w to wierzył — szepnął — muszę w to wierzyć.

I już nazawsze — poczułem to — porzucił wszelką wątpliwość.

Odetchnąłem lżej. Tak bliski byłem wyjawienia mej tajemnicy...

Powróciliśmy do sali, pełnej już milczącego a ciekawego tłumu. Była też Ella i jej rodzice, było i wielu innych znajomych i przyjaciół oskarżonego i jego rodziny.

On sam miał znowu ten uparty i zacięty wyraz, z którym wyglądał najgorzej. Trzymał się śmiało, nieledwie zuchwale, ale w tej jego śmiałości było coś, co mówiło mi, że z rozmowy z adwokatem swym nie wyniósł zachęty, ani pociechy.

Gdy zajął miejsce swoje, oczekując przesłuchania ze strony prokuratora, zaległo na sali uroczyste milczenie.

Mr. Fox surowo a spiesznie przystąpił do ataku.

— Czy w nocy drugiego grudnia po raz pierwszy wogóle odwiedziłeś pan piwnicę klubową?

— Nie; już przedtem raz tam zaglądałem. Ale ja zawsze płaciłem za to, co wziąłem — dorzucił dumnie.

— Proszę tylko o ścisłe odpowiedzi, panie Cumberland. Wszystko inne jest zbyteczne.

Artur zmarszczył się, ale tylko na chwilę i z niezrównaną obojętnością odpowiadał dalej.

— Więc znałeś pan już drogę?

— Doskonale.

— A zamek?

— O tyle, że nie sprawiało mi trudności otworzyć go.

— Jak pan sądzi, ile czasu zabrało panu wejście do domu i wydobycie tych butelek?

— Nie umiem tego powiedzieć. Nie mogę tego wiedzieć. Nie przyszło mi na myśl spojrzeć na zegarek.

— Nie spojrzałeś pan, wychodząc? Nie spojrzałeś pan, idąc przez Cuthbert Road?

— Ani wtedy.

— Ale pan wie, kiedy pan opuściłeś budynek klubowy, wracając?

— O tyle tylko, że wiem, iż jeszcze wtedy śnieg nie zaczął padać. Mówiono mi potem, że pierwsze płatki śniegu zaczęły tej nocy sypać dziesięć minut przed jedenastą. Znajdowałem się wtedy na terenach golfowych. Może pan podług tego czas obliczyć. Bardzo przepraszam — dodał z pewną irytacyą, widząc, że mr. Fox się zmarszczył — zapomniałem, co pan zalecił.

Mr. Fox uśmiechnął się kwaskowo, pytając dalej:

— W którem miejscu na terenach golfowych? Bo przecież pamięta pan, że te tereny są rozległe?

— Mierzą sześćset łokci od pierwszego kółka do trzeciej dziury, która jest najbliższą ulicy Cuthbert Road — wyszczególniał Artur. — Ja byłem... nie, nie umiem dokładnie powiedzieć, gdzie wtedy byłem. W każdym razie dosyć daleko do domu. Snieg bardzo gwałtownie padał. Była chwila, że nie widziałem drogi.

— Jakto, nie widziałeś pan drogi?

— Snieg mi sypał w oczy.

— Kiedy pan szedł przez tereny?

— Tak, panie prokuratorze, kiedy szedłem przez tereny.

— Ależ zawierucha szła z zachodu. Powinna była panu wiać w plecy.

— Czy w plecy, czy w twarz, dość że mi przeszkadzała. Nie mogłem iść tak prędko, jak chciałem.

Pan Fox spojrzał na przysięgłych. Czy oni też pamiętali świadectwo gospodarza zajazdu, że paltot pana Cumberlanda pokryty był grubą warstwą śniegu, zarówno z przodu, jak z tyłu? Zmiarkował widocznie, że pamiętają, gdyż zaraz ciągnął dalej:

— Pan zna dobrze te tereny? Przechodziłeś pan przez nie często?

— Tak, ja tam grywam golfa przez całe lato.

— Nie chodzi mi o to, kiedy pan tam grywasz. Pytam, czy pan przechodziłeś tamtędy kiedy do Cuthbert Road?

— Owszem, przechodziłem.

— W czasie zawieruchy?

— Nie, nie w czasie zawieruchy.

— A wtedy ile czasu potrzebowałeś pan, żeby przejść z pod Szumiących Sosen na Cuthbert Road?

Mr. Moffet podskoczył, ale obwiniony zdążył odpowiedzieć, zanim on się wmięszał.

— Dokładnie piętnastu minut.

— Skąd pan to wiesz tak dokładnie?

— Bo wtedy spojrzałem na zegarek. Miałem się z kimś spotkać w mieście i miałem tylko dwadzieścia minut czasu na drogę. I nie spóźniłem się.

Rzetelny do gruntu. Podobał mi się ten chłopak. Ale ta szczera, lecz nie przezorna odpowiedź nie podobała się jego obrońcy, który byłby był niezawodnie wolał ogólniejszą i mniej ścisłą. Jednakże stało się. Moffet słuchał spokojnie, jak prokurator w dalszym ciągu wydobywał z obwinionego przyznanie, że dobrze chodził, że się nie lękał zadymek i że nieraz, pod wiatr, czy z wiatrem, przechodził dwa razy większą odległość w niecałe pół godziny. Otóż ponieważ tym razem wiatr dął mu w plecy, a on się spieszył, musiał się oczywiście tłomaczyć z tego, w jaki sposób użył zbywających czterdziestu minut, zanim wszedł do zajazdu o wpół do dwunastej.

— Czy może zatrzymywałeś się pan po drodze, żeby wypić łyk tego wina? — zapytał prokurator.

Swiadectwo gospodarza zajazdu brzmiało wyraźnie, że sam odkorkowywał butelkę, którą gość przyniósł ze sobą.

— Nie — odpowiedział Artur. — Nie piłem nic. Tak byłem zamyślony, że przeszedłem aż na drugi koniec przez całą długość terenow.

— Wśród tej oślepiającej zadymki?

— Tak, wśród zadymki. Co mi szkodziła zadymka? Nie rozumiałem, co znaczy, że moja siostra znajduje się w klubie. To mi się nie podobało. Chwilami miałem pokusę zawrócić.

— Więc dlaczego nie zawróciłeś pan?

— Ponieważ... to właśnie, że postąpiłem jak ostatni dureń, a nie jak brat... ponieważ ten zajazd na Cuthberd Road ciągnął mnie pomimowoli... ponieważ...

Tu przerwał i po raz pierwszy dnia tego wzruszenie odbiło się na jego twarzy.

— Nie wiedziałem, co się tam dzieje, bo gdybym wiedział, byłbym wrócił! — wybuchnął, spojrzawszy na swego obrońcę.

Znowu sympatya wszystkich zwróciła się w jego stronę. Mr. Fox mało zyskał na tej pierwszej próbie. Zrozumiał to, zdaje się i zwrócił swój atak w punkt napozór słabszy.

— Usłyszawszy głos siostry w domu klubowym, jak pan sobie wyobraziłeś, że którędy ona weszła?

— Zapomocą kluczy, które Ranelagh zostawił u nas w domu.

— Czy, odłączając jeden klucz od całego pęku kluczy, czyniłeś pan to z myślą, że siostra będzie chciała zrobić z tych kluczy użytek?

— Nie, nie pomyślałem o tem wcale. Ja wogóle o niej nawet nie pomyślałem.

— Wziąłeś pan jeden klucz, pozostawiając resztę?

— Tak było, jak pan mówi.

— Czy działo się to przed włożeniem paltota, czy po włożeniu paltota?

— Nie pamiętam dobrze; zdaje mi się, że po. Tak, miałem już wtedy paltot na sobie, gdyż przypominam sobie, że zajęło mi to sporo czasu, zanim odpiąwszy paltot, dostałem się do kieszeni.

— Panie Cumberland, bądź pan łaskaw dobrze

sobie uprzytomnić te chwile, które pan spędziłeś w sieni. Czy pan włożyłeś czapkę, zanim pan klucz schowałeś do kieszeni, czy też później?

— Czapkę? Czy ja wiem? Nie myślałem o czapce. Nie wiem, kiedy ją włożyłem.

— Pan stanowczo nie pamięta?

— Nie.

— Ani też, skąd pan ją wziąłeś?

— Nie.

— Ani, czy pan zobaczyłeś klucz wpierw, a potem poszedłeś po czapkę — czy też, włożywszy klucze do kieszeni, poczekałeś pan...

— Ja nie czekałem.

— Nie stałeś pan przed stołem, namyślając się?

— Nie, zabardzo się spieszyłem.

— Tak, że pan zaraz wyszedłeś?

— Tak, jak tylko mogłem najprędzej.

Prokurator przerwał, chcąc się upewnić, czy przysięgli uważają. Widząc wzrok wszystkich na sobie, zapytał dalej:

— Czy to ma znaczyć natychmiast, czy tylko najprędzej, jak pan mógł po dokonaniu pewnych przygotowań, lub też po rozmowie z kimś, na kogo pan może zawołałeś, albo kto może zawołał na pana?

— Ja nie wołałem na nikogo. Ja... ja wyszedłem natychmiast.

— A więc jakżesz dostałeś się pan do stajni.

— Do stajni. O, nie miałem żadnych trudności w dostaniu się do stajni!

— Czy stajnia była otwarta?

Rumieniec zwolna oblał całą twarz obwinionego. Teraz spostrzegł, dokąd go wyprowadzono; potrzebował chwili czasu, zanim się opanował i zanim odpowiedział:

— Miałem klucz do tych drzwi także. Wziąłem go z kuchni.

— Nic pan o tem nie powiedziałeś, że pan chodziłeś do kuchni.

— Ja i o tem nie mówiłem, że z góry zeszedłem na dół.

— Więc wstępowałeś pan do kuchni?

— Tak.

— Kiedy?

— Zaraz, zeszedłszy z góry.

— To się nie zgadza z własnem pańskiem zeznaniem. Przeciwnie, po wiedziałeś pan, że zeszedłszy na dół, poszedłeś pan prosto do wieszadła po swoje okrycie. Protokolancie, proszę odczytać, co obwiniony mówił w tym względzie.

Wpośród śmiertelnej ciszy dał się słyszeć szelest przekładanych kartek, poczem odczytano odnośne pytanie i odpowiedź:

„A jednak pan nie może powiedzieć, który z tych dwóch płaszczów włożyłeś pan, wychodząc z domu w jakąś godzinę po obiedzie?“

„Nie mogę. Byłem w takiem usposobieniu, że nie uważałem. Chciało mi się koniecznie iść do miasta, a zeszedłszy na dół, poszedłem prosto do wieszadła i wziąłem pierwsze rzeczy, które mi wpadły w rękę“.

Obwiniony stał nieporuszony, marszcząc uważnie czoło, dopóki ostatnie słowo nie przebrzmiało. A wtedy rzekł:

— Ja zapomniałem. Wstąpiłem po klucz, zanim włożyłem paltot. Chciałem zobaczyć, jak się miewa chory koń.

— Czy i ten klucz włożyłeś pan do kieszeni?

— Nie, zaniosłem go do sieni.

— A tam, co pan z nim zrobiłeś?

— Nie wiem. Być może, że położyłem go na stole.

— Nie pamięta pan tego? Tam inne klucze leżały na stole. Czy pan nie pamięta, co pan zrobił z tym, który pan trzymał w ręku, podczas gdy pan zdejmowałeś klucz od klubowej piwnicy z pęka kluczy pana Ranelagh'a.

— Położyłem go na stole. Musiałem go tam położyć; nie było innego miajsca, gdziebym go mógł położyć.

— I zabrałeś go pan, wychodząc?

— Naturalnie.

— A co pan z nim zrobiłeś, idąc do miasta?

— Zostawiłem go w drzwiach od stajni.

— Tak? Jak pan to może wytłómaczyć?

— Nie umiem tego wytłómaczyć. Nie dbałem o nic. wszystko mi było jedno, tyle tylko wiem.

— A jednak, pomimo żeś się pan tak spieszył i nie dbał o nic, znalazłeś pan czas pójść po klucz i zajrzeć do konia, który nawet do tyla nie był chory, by stangret pozostał w domu, zamiast iść na taniec.

Obwiniony milczał.

— Nie może pan niczem innem objaśnić tej okoliczności?

— Nie. Wszyscy, którzy lubią konie, zrozumieją mnie.

Prokurator wykreślił tę odpowiedź i ciągnął dalej:

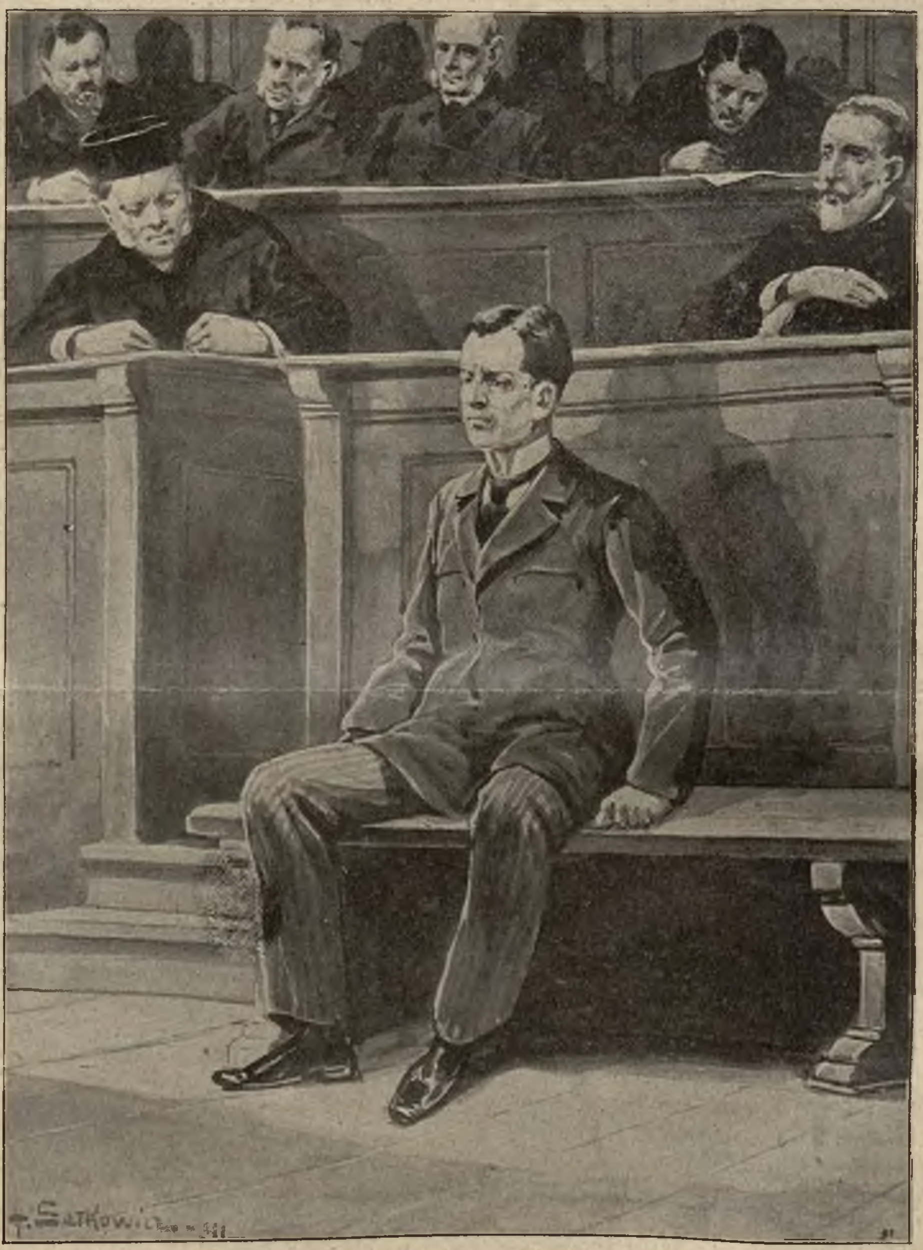
— Słyszałeś pan zeznanie Zadoka Browna. Wróciwszy o trzeciej, zastał drzwi stajni zamknięte, a klucz, jak zwykle, wisiał na gwoździu w kuchni. Jak pan to tłómaczy?

— Można to dwojako tłómaczyć.

— Proszę, jak mianowicie?

— Zadok był na tańcach i może nie zupełnie jasno wiedział, co widzi. Albo też, widząc drzwi od stajni otwarte, mógł sobie przypisać winę i starać się pokryć ją kłamstwem.

— Czy złapał go pan kiedy na kłamstwie?



Artur miał znowu ten uparty i zacięty wyraz.

— Nie, ale zawsze mogło się to zdarzyć.

— Chciałby pan zatem podać zeznanie jego w wątpliwość?

— Nie. Pan mnie pytał, jak wytłómaczyć tę sprzeczność, więc starałem się wskazać, jak.

— Panie Cumberland, siwa klacz chodziła tej nocy; na to mamy wystarczające dowody.

— Jeżeli pan wierzy Zadokowi, to prawda.

— Pan słyszał jeszcze o innych świadectwach, popierających jego zeznanie. Widziała siwkę tej nocy na drodze, prowadzącej z klubu, inna jeszcze osoba, wiarygodna, która ją poznała.

— Tak mi mówiono.

— Osoba, powożąca tym koniem, miała na głowie czapkę, w której rozpoznano starą pańską czapkę, znalezioną później u pana w domu, w rzadko używanem schowanku na kołku. Jeżeli to nie pan byłeś ową osobą, to jakżeż potrafisz pan wytłómaczyć użycie pańskiego konia, użycie pańskich rzeczy, zamknięcie drzwi stajennych, które, jak pan twierdzisz, zostawiłeś pan otwarte — i powieszenie klucza na właściwym gwoździu?

Straszne to było pytanie; jak straszne, on tylko wiedział i ja. Gdyby chciał na nie odpowiadać, musiałby skompromitować Karmelę. Nie lękałem się, by to uczynił, ale lękałem się, co zrobi Ella, jeżeli on nie obali tego zarzutu, jeżeli nie zaprzeczy, że był w tych sankach i że tem samem powrócił do domu. Widziałem, że rodzice niespokojne rzucają na nią spojrzenia i ja także starałem się uchwycić jej wzrok, by wyrazem twarzy zalecić jej spokój. To też nie widziałem twarzy Artura, ani twarzy jego obrońcy, gdy usłyszałem jego odpowiedź, taką właśnie, jak przewidywałem.

— Nie umiem tego wytłómaczyć.

Był to dla mnie cios śmiertelny. Zrozumiałem to odrazu; chciałem jednakże zaczekać jeszcze, przekonać się dowodnie, czy doprawdy Artur ostatecznie przegrał sprawę, a ja czy będę zmuszony przemówić, by winy śmierci jego nie ponosić?

Nie uszedł wprawnego już mojego oka ten chmurny nastrój ogólny, który nastąpił wobec tego, że Artur nie mógł, czy nie chciał wyjaśnić tej najbardziej obciążającej go okoliczności. Nie był to jednak jeszcze ten skończenie posępny nastrój, który zwykł poprzedzać skazanie winnego. Zwróciwszy oczyma uwagę Elli na twarz Moffeta, którego mało, zdaje się, wzruszało i wyraźne zadowolenie prokuratora i rozpaczliwe przygnębienie oskarżonego, uzbroiłem się w cierpliwość, postanawiając czekać jeszcze dalszego przebiegu.

— Wchodząc do kuchni, panie Cumberland, celem wzięcia stamtąd klucza, czy zastałeś pan palący się gaz, czy też musiałeś sam go zapalać?

— Zdaje mi się, że gaz palił się jeszcze?

— Nie wie pan na pewne?

— Tak, palił się, ale przykręcony. Widziałem dostatecznie.

— Jakto, czy pan nie wziąłeś obu kluczy?

— Obu kluczy?

— Mówiłeś pan, że poszedłeś do miasta krótszem przejściem, przez ogród sąsiada. To przejście odgradzają drzwi, które tej nocy były zamknięte na klucz. Panu klucz od tych drzwi bardziej był potrzebny, niż klucz od stajni. Dlaczego go pan nie wziąłeś?

— Owszem, ja go wziąłem.

— Tego pan nie powiedziałeś.

— Ja — ja go zabrałem razem z tamtym.

— Czy pan jesteś tego pewien?

— Tak jest, oba te klucze wisiały na jednym gwoździu. Schwyciłem równocześnie oba.

— To inaczej wygląda w pańskiem zeznaniu; pan wspominałeś o kluczu, nie o kluczach, we wszystkich odpowiedziach na wszystkie moje pytania.

— Były tam dwa klucze; nie obliczałem moich słów. Oba mi były potrzebne i oba też wziąłem.

— Który z nich był na wierzchu?

— Nie uważałem.

— I oba pan zabrałeś?

— Tak jest, oba.

— I zaraz pan z niemi wyszedłeś?

— Tak jest, do stajni.

— A potem dokąd?

— Przez sąsiedni ogród ku miastu.

— Jesteś pan pewien, że przeszedłeś przez posiadłość pana Fultona tak wczesnym wieczorem?

— Twierdzę to najzupełniej stanowczo.

— Czy nie było to o późniejszej godzinie, znacznie późniejszej, trochę przed jedenastą a nie trochę przed dziewiątą?

— Nie, panie. Wtedy ja byłem na terenach golfowych.

— Ale ktoś zajechał do stajni.

— To pan to twierdzi.

— Ktoś odprzągł konia, wciągnął sanki, zamknął stajnię na klucz i wszedłszy do domu, powiesił klucz na swojem miejscu.

Tym razem nie było odpowiedzi.

— Panie Cumberland, pan przyznałeś w śledztwie, że zabrałeś z klubu tylko jedną butelkę specyalnie tego wina, które pan lubiłeś, chociaż wniośleś pan dwie do kuchni?

— Nie, ja tylko powiedziałem, że jedną miałem ze sobą na Cuthbert Road. Nic nie pamiętam, co się stało z tą drugą.

(Ciąg dalszy nastąpi).

BEM

POWIESC HISTORYCZNA Z XIX WIEKU

przez WACŁAWA GĄSIOROWSKIEGO.

20

Generał podczas siedział wciąż, z głową zapartą na ręku, z oczyma utkwionemi w jakiś nieuchwytnie odległy punkt.

Pałacyk generała powoli cisza zaległa. Odszedł Kamiński ze swoją asystą. Zniknął i Fiszer i Ledóchowski. W przylegającej do antykamery komnacie rozkwaterował się już na dobre kapitan Lipski, jeno żwawe poszmery, idące z kuchni i służbowych izb, jeno łańcuch gęsty szyldwachów, otaczających pałacyk Krukowieckiego, świadczył, iż na siedzibę tę padł grom niełaski Rządu narodowego, że ramię wodza naczelnego dosięgnęło swego nieubłaganego przeciwnika.

Bem jeszcze precz gościł u generała. Właściwie stał w jadalni, zaparty o ścianę i poglądał niepewnie ku siedzącemu generałowi, którego pani Krukowiecka usiłowała wyrwać odrętwieniu.

Pułkownik co moment powtarzał sobie, że należy mu się usunąć, odejść, że nie przystoi nawet być gapiem, że winien odezwać się żwawiej i odejść — lecz gdy miał krok zrobić, ogarniało go przeświadczenie, że właśnie dopuściłby się niegodziwości. Nic mu do Krukowieckiego, nic do jego z Rządem czy Skrzyneckim porachunków — a przecież to sponiewieranie starego żołnierza zapadło Bemowi pod serce i piekło i kłuło i szarpało.

Wielki zegar w rogu jadalni zachrobotał przeciągle, cyknął sprężyną i jął wydzwaniać godzinę siódmą.

Bem przezwyciężył się i podszedł do Krukowieckiego.

— Czas na mnie do obozu!

Krukowiecki drgnął.

— A, to pułkownik!

Bem ujął Krukowieckiego za rękę i uścisnął serdecznie.

— Odchodzę, generale...

— Nie jestem już generałem! — odrzekł cicho Krukowiecki i wielka, perlista łza wyrwała mu się z pod obrzękłej powieki.

— Dla mnie, dla mnie generał nigdy nie przestaniesz!...

Krukowiecki potrząsnął głową i rozpłakał się.

X.

Gdy się to działo. Ogród Saski już huczał od wrzawy uroczystej i zniecierpliwionej ochoty, już ostatniego znaku czekał, aby fanfarami zagrzmieć, polonezami rozkołysać i po rzewnej modlitwie, do stołów. do biesiady, do płomiennych wezwań tłumy powieść i rzucić je potem szałowi wesela, zapamiętania, tanom i radości na chwałę niby wzmocnionej fetą ojczyźnie.

I ciżba różnobarwna, pstra, gorąca, falowała, kłębiła na ścieżkach i trawnikach i zdumiewała się.

Bo też pierwszy pułk gwardyi narodowej, pod przewodem imci pana Ostrowskiego, niby bal walecznym sprawiający na głowie się postawił.

Rozmaite bo, od momentu wyzwolenia, oglądał lud warszawski parady, przeglądy, gody solenne panów z narodem, szlachty z mieszczuchami, wojska ze wszystkimi stanami. Lud warszawski już się nieraz i nabeczał na polowych mszach i na całego mrowia polskiego rezurekcyach i nahasał z hułanami, czwartakami, strzelcami, piechurami. A co ostatnio, po uczcie w Ogrodzie Krasińskich, zgoła mniemał, że chyba tęższego a piękniejszego dnia nie dożyje.

Tymczasem przemyślność a zasobność pierwszego pułku gwardyi narodowej, w którym mnóstwo bogatych sługowało posesorów i kupców, już w tydzień po uczcie w Ogrodzie Krasińskich, wyprawiała fetę, która wszystkie poprzednie umiała zaćmić.

Prawda, że nie tylko podcienia rozłożystych drzew Saskiego Ogrodu i jego znaczny obszar dodały wspaniałości fecie ale i niebo samo zdawało się sprzyjać i zamysłowi pierwszego pułku gwardyi narodowej. Nigdzie chmurki pod stropem błękitów, rozpiętym ponad konarami stuletnich drzew. W powietrzu cisza, kołysana delikatnym wiewem ciepłych zefirów a ogrodowe krze, zarośla, klomby i trawniki, jakby umyślnie wymalowane, zestrojone. Tu jeszcze kiściami bzów okwitających zdobne, owdzie już głogami grające. Tu steczki okwitem kasztanowym a ówdzie akacye z jaśminami już tchną ku sobie upajającymi oddechy. Tu wychuchana, wydmuchana arystokracya cieplarnianych sadzonek, nieśmiałymi kolory znaczy linie grządek i leszek a ówdzie hołota wszelaka, lecz hołota zadzierżysta, chwacka, dorodna wypełnia trawniki, mętne, pstre kwiatuszki, nastawia dumnie wietrzykowi do czesania. I czesze wietrzyk macierduszkę ku szczawiowym listkom, rumianki w ramiona krwawnikowi podaje, plącze kiście wąsate, głaszcze trawki.

Aleć, przyznać trzeba było, że sprawność gospodarzów fety z oprawą natury szła również w parągon.

Więc najpierw brama od dziedzińca Saskiego była istnem arcydziełem. Nie wiadomo było, co więcej admirować, czyli esów girlandowych zawiłość, czyli chorągwi i chorągiewek sztuczne a wdzięczne oplątanie, czyli malowanie godeł, herbów i transparentów.

Za bramą, bokami wielkiej alei, po dwa długie, śnieżno-białe pasma stołów i stołów mięsiwem, dzbanami, pieczywem, szklanicami, butlami suto, gęsto zastawionych. I pasma te biegną hen, na przestrzał, aż kędy okrawek wolnego przestworu z drugiego skraju ogrodu do alei zagląda.

Te wstęgi stołów, od strony podcieni drzew, zdobią pasy skrzące się, łyskające bronią, grające zdala barwami, przetykane pstrymi pękami trębaczów i dobeszów.

Żółte, niebieskie, czerwone, białe, amarantowe wyłogi idą naprzemiany parami, białe kity rwą czarne, czarne łamią czerwone, po czapach piechurskich idą ułanki, po ułankach krakuski, po nich strzeleckie szkopki i znów ułanki i jeszcze żandarmskie kaski i inżenierskie hełmy i znów piechury.

I ten żywopłot trwa z bronią u nogi karny, milczący, niby obojętny, niby nie czujący, że poza nim, bokami, faluje równie zwarta, niemniej liczna wstęga loczków, trefionych główek, falbanek, spódniczek, kapelusików, chust i zapasek, — że ta druga wstęga piecze ślepkami pierwszą, że gdyby nie straże gwardyjskie, co jej jeszcze przystępu bronią, runęłaby na wyłogi, na czapy, na pałasze, na bagnety i chrupałaby je z miłowania, z porywczości, z zapamiętania serdecznego.

Z lewej od strony Saskiego Dziedzińca — znów pasma stołów ale suciej zastawionych, piękniej przybranych. A dokoła suknem wysłanych ław ciżba bezładna, gwarząca, wymieniająca ukłony, powitania, uśmiechy, półsłówka. I ciżba wytworna, strojna w generalskie kapelusze, złote i srebrne buljony, sztabowe akselbanty, adamaszkowe kontusze, batorówki z trzęsieniami, rogatywki, popielate, rozłożyste cylindry, pasterki, jedwabie, muśliny, fulary, madrasy, narodowe kokardy, ciżba skrzącą się, szeleszczącą, wyświeżona, uroczysta.

W bok od ciżby, naprzeciwko środka stołu, ołtarz, na armatach spoczywający, w zdobyte przybrany sztandary, bronią wszelaką najeżony, chorągwiami łopoczący. A na szczycie ołtarza orzeł symbol, orzeł relikwia, orzeł testament nad testamentami mocarza, którego sławy wojsko było dziecięciem, za którego przyczyną dźwignęło się, krwią spłynęło i krwią okupiło kongresowe swobody.

Tego to orła Napoleon dał pułkownikowi Szycowi przy pożegnaniu wiernych do ostatków polskich zastępów, tego to orła pułkownik strzegł, jak skarbu najdrogocenniejszego, przez lat szesnaście, ten orzeł przez szesnaście lat był tajemniczą arką przymierza, był talizmanem zaklętym, był legendowym szczerbcem, który podotąd nie dał się wykryć, który dla zmylenia śladów sobowtórem się osłonił, aby powrotu piastowych dziedziców swaniej doczekać.

I w obliczu tego orła jaskrawiej, wyraziściej grały na piersiach weteranów krzyże honorowej legii, dumniej podnosiły się szronem przyprószone głowy napoleończyków, wielkiej armii oficerów.

Z ołtarza biły napisy, przywodzące grochowskie olchy, zagajniki Stoczka, wawerskie pola, ostrołęckie łęgi — a między starszyzną oficerską wspomnienia rwały hen w dal, do Tczewa, Gdańska, Raszyna, Berezyny, do Tudeli, do przeszłości. I gdyby nie cywilnych dostojników o sprawach najbliższych rozhowor, gdyby nie młodzi adjutanckiej ku wachlarzom, niewieścim falbankom ostróg brząkanie — zdałoby się, żeć tu dawni wojacy przyszli gwarzyć społem o tem, co minęło i dawno i na wieki.

Dalej, w okrąg tych stołów dygnitarskich a w podłuż głównej alei, siedm polanek, siedm zielonych kobierców zręcznie wybranych a w pośrodku każdego z nich wojskowa kapela łunami mosiądzu świecąca, w krąg ustawiona ku pałeczce naczelnika swego zapatrzona. Krom tych siedmiu ósma u głównego wejścia i ta w gwardyi narodowej uniformach, ta, która na teatrze grywa wieczór w wieczór — a po dniu w mundurach występuje. W tej kapeli już krom trąb, piszczałek i bębnów są i zgoła misterne instrumenty, niby na zadokumentowanie, że i w skrzypicach i basetlowych pudłach duch poczciwy się najduje.

Cały zaś obszar ogrodu w piękny ład ujęty a granatowo-amarantowymi mundurami gwardzistów symetrycznie wytknięty. Gwardziści tu gospodarzą, oni strzegą, by tłumy ludu przystojny zachowywały przedział, by trwały w skupieniu. Oni honory czynią przybywającym dostojnikom, oglądają przy wejściu karty, decydują, kogo należy wedle zasługi czyli godności poczesniejszem uhonorować miejscem, kogo wypada do stołów oficerskich doprowadzić a kogo między gawiedź wtłoczyć. Gwardzistom przewodzi imć pan Ostrowski Władysław w wielkim mundurze z dwoma adjutantami, przewodzi a czai się u wejścia, aby conajznakomitszych personatów samemu witać, samemu honorować.

Tymczasem w miarę trwającego wciąż zjazdu kolas, w miarę napływania ludu, wzrasta jego niecierpliwość, wzrasta gorączka serdeczna.

Już po dwakroć motłoch zalegający Saski Dziedziniec, okrzykami zaalarmował Ogród, już po dwakroć główna aleja zabrzmiała komendami przedwczesnemi. Aż raptem podjazd opustoszał. Od wejścia nie widać już ani dam nadchodzących, ani poselskich kokard, ani senatorskich postaci. Tak minęła chwila krótka, jak mgnienie powiek, a dla czekającego pogłowia dokuczliwie, nieznośnie długa.

Wtem u bramy żwawiej zakręcili się adjutanci. Kapela gwardyi narodowej podźwignęła instrumenty, motłoch zahuczał okrzykami i pierwsze tony mazurka Dąbrowskiego zerwały się, pomknęły między drzewa, aleje i klomby i z siedmiu, rozrzuconych po polanach, orkiestr wtór zamaszysty dobyły.

Ogród zagrzmiał wiwatami i zwrócił się ku wejściu, od strony którego nadchodził wódz siły zbrojnej z prezesem Rządu narodowego, ministrami i świtą adjutantów.

Ogród mruknął okrzykami. Z początku niepewnymi, przytłumionymi, wahającymi — aż, jakby dopiero dostojnością oblicza i dzielnością postawy Skrzyneckiego ujęty, rozczmychał się i zagrzmiał pełną piersią.

— Niech żyje! Wiwat Skrzynecki! Hura! — Wiwat!

Aż dopiero kiedy wódz dosięgnął głównej alei, kiedy między skrzącemi się w słońcu ostrzami bagnetów i pałaszy stanął, kiedy z całą swą paradową fantazyą jął witać szeregi, odzywać się do zuchów, z całymi pułkami rozmawiać — Ogród Saski zatrząsł się od serdecznego szału.

I tłum i wojsko zgromadzone taki zapał, taka ogarnęła tęgość, że ledwie nie złamali szyków, ledwie kunsztownego nie zepsowali ładu.

Ha, bo też każde spojrzenie wodza naczelnego, każde drgnienie szlachetnej, wyrazistej, ogorzałej jego twarzy, każde skinienie ręki, każdy dźwięk jego głosu mieścił naprzemiany tyle wspaniałości i dobitności, tyle rycerskiej dumy i myśli ofiarnej, tyle bohaterskiego uniesienia i męczeńskiego smętku, że nawet zimni, nawet obojętni, nawet złośliwi, nawet szemrzący na wodza, rozgorzeli.

I Skrzynecki szedł, niby czarownik nad czarowniki, niby kapłan nad kapłany, co zakląwszy krnąbrnością grożącą mu rzeszę, znów szczytu sięgnął, znów moc odzyskał. I Skrzynecki coraz śmielej wyprzedzał ministrów, coraz mniej troszczył się, czyli nie nadto sforuje się przed Czartoryskiego. Ale i książę snać uczuł Skrzyneckiego wschodzącą gwiazdę, bo miast dotrzymywać mu kroku, czegoś osłabł, ociężał, czegoś zagadał się z idącym obok niego Slichtą.

Zapał tymczasem coraz śmielszy kształt przybierał. Żołnierze naprześcigi darli się z szeregów, wyrzucali czapami, hukali, potrząsali bronią aż jęli wołać zapamiętale:

— Prowadź wodzu! — Na bitwę chcemy! — W pole! — Na wojnę! — Na Dybicza! — Wiwat! — Pod twoim przewodem!

Skrzyneckiemu twarz rozgorzała.

— Dobrze chłopcy! — Pójdziemy! Za nasze prawo! — Pora teraz! I ja z wami, na bagnety po swoje, po kochane!...

Batalion piątego pułku strzelców, przed którymi stał był Skrzynecki, złamał szyk i rzucił się doń rozmiłowany, szczęsny, radosny. A wódz z oczyma lśniącemi oganiał się nieusłuchańcom, „dzieciom warszawskim“ a fukał, niby pleban burczymucha, który dziatwie wioskowej niby się opędza, niby ją odpycha a tuli, niby tarmosi za uszy a gładzi a hołubi.

Entuzyazm głównej alei ogrodowej tymczasem nie pozostał bez wpływu na ciżbę strojną, przed oficerskimi zgromadzoną stołami. Bo i ta ciżba, choć przybycie orszaku władzy najwyższej przyjęła z flegmą i otrzaskaniem, choć tu i owdzie kłójącą powitała go przesłanką, sarkastycznem ust wygięciem, przecież, na widok czynionych Skrzyneckiemu owacyi, zmieniła raptem zachowanie. Tak, że gdy

wódz naczelny dosięgnął ciżby, już jeno pogodne napotkał oblicza, jeno wynurzenia przyjaźni, hołdy, życzenia i komplementy.

Aż imć pan Ostrowski dał znak. Kapele umilkły. Przed ołtarzem amarantowy ornat kapelana się skłonił. Modły trwały krótko, tyle aby po Bożemu zacząć i pieśnią wspólną się wzmocnić. Zaczem tarabany z piszczałkami zadudniły pobudkę na siadanie do stołów. Wstęgi wojska rozpadły się, broń w kozły złożyły i dalejże do jadła.

Kapele polonezami spłynęły — lecz na krótko, bo teraz na stoły oficerskie przyszła kolej prowadzenia fety. Więc, ledwie rozprawiono się z pierwszem daniem — dźwignął się wódz naczelny i kielich na cześć walecznych wzniósł, sekundowany przez fanfary i hukanie biesiadujących. Za naczelnym wodzem imć pan Ostrowski, kunsztownie wyłożywszy, za czyim to przewodem tyle męstwa okazali ojczyzny wojownicy a kto nie rozkazywać tylko umie, lecz i samemu przykładem świecić i samemu z karabinem stawać, zdrowie Skrzyneckiego wychylił. Za Ostrowskim poszli inni. I pito na księcia prezesa uczczenie, na Rządu wiecznotrwałą moc, na sejmu i senatu odrodzonego powagę, pito za wszystkich walecznych społem, za generałów zdrowie, za sztabu nowego naczelnika, za krzyża wojskowego kawalerów. Serca gorzały, promieniały oblicza, oczy lśniły, coraz gęściej rosa perliła się na powiekach. A kapele grały hymny i marsze, pobudki i fanfary — a biesiadujący żołnierze świadczyli oficerskim stołom wybuchami okrzyków. Aż imć pan Ostrowski znów na adjutantów skinął. Kapele umilkły na chwilę i uderzyły na ucztujących polonezem Kościuszki. Skrzynecki porwał się i rękę generałowej Prądzyńskiej podał. Łubieński do małżonki naczelnego wodza się podsunął. Za Łubieńskim, generałowie, senatorzy, dostojnicy, sztabowcy ku damom po skoczyli — pary ustawiły się i polonez ruszył ku głównej alei. Lecz zaledwie jej dosięgnął, już wpadł w swywolne tony zamaszystej polki. Żołnierze porwali się z miejsc, fala tłumu runęła ku mundurom, zmieszała się z nimi i zawirowała.

Skrzynecki puścił panią Prądzyńską. Generałowa poszła teraz w tany z prostym żołnierzem. Skrzynecki powiódł w chuścinę i perkaliki strojną mieszczkę.

— Wiwat wódz! — Wiwat naród!

Główna aleja a za nią trawniki i polany ogrodowe wypełniły się tańczącemi parami.

I Ogród Saski aż drżał w posadach od serdecznej ochoty, aż stuletnie dęby i lipy chwiały ze zdumieniem koronami, aż mury Saskiego pałacu rumieniły się dwakroć mocniej i pewnie nie dla chylącego się ku zachodowi słońca. A kamienne twarze bogiń, bożków i muz, zdobiących ogród, ożywiały się.

Ha, bo jak ogród ogrodem takiego nie oglądał w swem łonie mrowia, takiej fety. Bywały tu rozmaite biesiady, bywały i tańce i za Fleminga i za Brühla i takie, które królewski majestat swoją obecnością zdobił — lecz tylej ciżby, tylego zapamiętania, tylego braterstwa stanów i za majowych dni nie pomniał nikt z ogrodowej starszyzny.

Za majowych przysiąg i solennego z ludem przymierza, była znaczna stanów szczerość, ale było i onieśmielenie. Każdy rozumiał, że chocia niby równość się narodziła, lecz nierówność precz chodzi po świecie! A teraz gdzie! Damy w sajetach, fiokach, bransoletach, pantofelkach, napudrzone, wychuchane same wieszają się na ramionach pospolitaków ułanów, piechurów, strzelców, woluntarzów gwardyjskich, prostaków. Opiekłe mieszczki, dziewuchy, igłami pokłute palce cisną do akselbantów, srebrnych na kołnierzach haftów, bulionów, gwiazd orderowych, jedwabnych fontaziów, dostojeńskich surdutów, magnackich kontuszów.

Tu czwartak szczerzy czerwoną, bliznami nakreskowaną, gębę do marcepanowej buzi grafini a wiotką jej kibicią miecie, niby przysadzistą Zośką wachmistrzanką. Ówdzie, na schwał dziewka wywija wycacanym adjutancikiem, że jeno spódnice jej furkoczą. Tu krępa jejmość, co jeno na paradach ułanom się radowała, kula się a tańczy a sapie z ukontentowania, niby niedźwiadek po raz pierwszy miodu smakujący. Tam chuda, wystrzelista, zbytkiem panieńskiego stanu udręczona, bladolica dziewoja aż wypieków dostaje, bo tak dziarsko kusy strzelczyk melancholię z niej wytrząsa. Tu majsterek podstarzały, siwiznę przepomniał i przytupuje do kumki, tu dygnitarz sunie dworsko a gracyą i fantazyą wywołuje aplauzy tłumu — tu cywile wywijają a żołnierzów chcą zakasować — owdzie kawalerya z piechotą, pułk z pułkiem, szwadron ze szwadronem w zawody idą.

Tu zadzierżysty ułan pod boki się ujął i podśpiewuje na przekorę czwartakom:

Hułany panięta
Pojedli cielęta
A piechury rury
Noszą po nich skóry!

A tam znów czwartak sadzi ułanom:

Piechur śpi w wygodzie
Hułan podle szkapy,
Pan zajada mięso
A koniuch ochłapy.



Skrzynecki coraz śmielej wyprzedzał ministrów.

Zmierzchało się. Ogniomistrze jęli czynić ostatnie przygotowania do mających zakończyć fetę rac, płomienistych gwiazd i świetlanych pióropuszów. Generał Skrzynecki ze starszyzną obchodził znów ogród a snuł się między ciżbą.

Wódz siły zbrojnej był rozpromieniony, rozkołysany dowodami miłości, czci i zapału, którymi co kroku witała go ciżba.

Tryumf, tryumf prawdziwy święcił. On królował i on tylko jeden był przedmiotem owacyi, hołdów, uwielbienia. Próbował się nadstawiać książę-prezes, Rząd, posłowie — daremnie. Wobec niego, Skrzyneckiego, zginęli, zczezli. Po kątach, na stronie kupią się, szepczą, polityczne knują racye. Nie dokażą, bo naród, stolica cała rozumie się na tem, gdzie władzy prawdziwej szukać.

I Skrzynecki kluczył między tłumem a pławił się w sławie.

Naraz, ciżba, którą mijał, miast rozsunąć się i zawiwatować mocniej się zwarła.

Skrzynecki stropił się i zwrócił w inną stronę, by się nie naprzykrzać tłumowi, gdy jednocześnie jakiś głos wykrzyknął hardo:

— Niech żyje Krukowiecki!

Wódz nachmurzył się. Ciżba zakołysała się i, nie bacząc na Skrzyneckiego, zawtórowała gromko:

— Wiwat generał-gubernator!

— Precz z kunktatorstwem! — podjął znów pierwszy głos. — Dosyć parady! — Bitwy chcemy!!...

Skrzynecki przyśpieszył kroku. Kapela, stojąca w pobliżu, zadudniła marszem.

Ciżba ryknęła ponuro — lecz wódz już zmrużył w bok, między korne dłanie hukania.

Gdy się to działo, — fala motłochu wszelakiego przed bramą ogrodową, od strony Saskiego Dziedzińca — rosła, wzmagała się a zabiegała, aby choć coś z fety uszczknąć. Trzymający straż gwardziści z żandarmami byli niewzruszeni. A ponieważ karty wstępu dla cywilów szaraków jeno pierwszy pułk gwardyi narodowej rozdawał — przeto kto w pułku znajomka, familianta nie miał albo do dygnitarskiej oficyny dotrzeć nie mógł, tego od bram ogrodowych odprawiano. Ten i ów z waszeciów paktował ze strażnikami, ten i ów sumitował się parantelą naprożno. Ale byli i tacy, co jakoś dogadać się umieli z argusami fety i ginęli w zaczarowanej bramie — i tacy nawet, co nie wchodząc w układy, pomykali naprzełaj i nikli w snujących się po ogrodzie tłumach, ku okrutnej zazdrości motłochu przed bramą.

Szczególnie na takowe sprawiedliwości pogwałcenie oburzała się zestrojona odświętnie jejmość, którą gwardziści, mimo prośby i zaklęcia, od bramy sromotnie odprawili.

— Patrzcie, dopierojci porządek! Dla luda wszelkiego paradę publikowali a teraz mi tu wstręty czynią! Widzicie ich, rządzicieli z morskiej piany.

— Niech wasani krwi sobie nie psowa po próżnicy! — upomniał jejmość pękaty gwardzista. — Rozkaz taki i tyle. Kto z wojskowego stanu czyli przepustkę ma, ten ma wchód!

— Mościewy! Z wojskowego stanu! Jeszcześ wasan z koszulą w zębach żołnierzył, kiedy mój nieboszczyk ze złotym krzyżem chodził! Rycerze! Nauczyłbyś się wasan choć mundura nosić!!...

Ciżba dokoła jejmości parsknęła śmiechem.

Gwardzista nasrożył się.

— Miarkuj się wasani, bo na ratusz pójdziesz!

Jejmość aż zatoczyła się z pasyi.

— Mnie, mnie, obywatelce. posesorce osiedziałej, ratuszem będziesz groził! Ty — ty kiełbaśniku, mędlikiszko rzeźnicka, zapomniałeś, komuś smalec nosił do pączków!

— Pani Madejowa! — bąknął skonfundowany gwardzista i zmrużył ku bramie.

Jejmość nie dała się atoli udobruchać rejteradą i mocniej jeszcze pofolgowała sobie, ku wielkiej uciesze gawiedzi, która zwarła się dokoła pani Madejowej i głośnem świadczeniem podniecała jej mowność.

— I ma ci z tego Polska się uczynić. Lada parobas szabelkę wiesza i spokojnym ludziom ogrodu broni! Naści wojaka! Ale niedoczekanie jego! Niech mnie siarczyste a swego nie daruję!

— A tak i waspani nie puszczą! — podjudził z boku jakiś głos.

— Hę! No to jeszcze zobaczymy!

— Widzimy przecież! — Znów dwie dzierlatki się wemknęły!

— Dwie dzierlatki! A co tego, nie daruję, żebym miała do samego prezydenta, do generał gubernatora...

— Et tam, żebyś wasani gładszą była, to i zaraz byś nalazła racyę...

Jejmości oczy kołem stanęły na taką przymówkę, zdawało się, że runie na impertynenta, któremu z ciżby pogłowia jeno załamany nochal wyglądał.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Zawierucha w Meksyku.

(Do illustracyi na str. 4).

Wiadomości, jakie nadchodzą z drugiej półkuli, brzmią dość wojowniczo. Sfery miarodajne w Stanach Zjednoczonych są ogromnie rozdrażnione, w ostatnich bowiem czasach powstała w Meksyku ostra opozycya przeciw rządowi, a równocześnie ruch wrogi dla północno-amerykańskiej Unii. Opozycyoniści wnieśli w Izbie kilka projektów ustaw, z których każda obliczona była na to, by amerykańskiemu handlowi w Meksyku usunąć grunt z pod nóg i doprowadzić go do ruiny, Stany Zjednoczone partycypują zaś poważną kwotą półtora miliarda w rozmaitych przedsiębiorstwach meksykańskich.



„Niebezpieczna" szkoła: Panna Konatkowska (X), której prywatną szkołę polską, utrzymywaną obok mleczarni jej ojca w Berlinie, zamknęła policya berlińska.

Na razie opozycya nie potrafiła wyrwać Diazowi steru z rąk, z chwilą jednak, kiedy to się stanie, a najprawdopodobniejszem będzie w razie śmierci Diaza, Stany Zjednoczone będą musiały użyć wszelkich środków, by ją złamać, a historya uczy, iż północno-amerykańska Unia nie robi ceregieli, jeśli chodzi o jej materyalne interesy. Zupełnie inaczej zapatrywałaby się na zamieszki u sąsiada, gdyby tamże sama nie była poważnie zaangażowaną.

Rząd związkowy podrażniła niezawodnie okoliczność, iż Japonia, dla ubezpieczenia swych interesów wobec Stanów, stara się usilnie o pozyskanie punktu oparcia na kontynencie amerykańskim w obrębie jednej z republik, przedewszystkiem zaś w Meksyku, więc tuż pod jego bokiem. Ostatnie oświadczenie japońskiego ministra spraw zagranicznych, że Japonia pragnie utrzymać ze Stanami jak najlepsze stosunki i że one są rzeczywiście wyśmienite, nie uspokoiło dostatecznie amerykańskiego ogółu, a rząd, jak wiadomo, pozostaje tam stale pod wpływem opinii publicznej, która opozycyonistów meksykańskich podejrzywa ciągle o knowania z żółtoskórcami.

Łatwo też stać się może, iż jeśli rozgorączkowanie opanuje umysły, rząd Unii, dla zadowolenia owej właśnie opinii publicznej, gotów będzie do kroków nieuzasadnionych faktami, a wojska zgromadzone wzdłuż granicy rozpoczną akcyę wojenną, zwłaszcza że dowódzca ich, generał Wood, podobno bardzo chętnie porzuciłby bezczynność, na jaką od lat tylu skazaną jest armia amerykańska.

Jak dotąd, to już przeszło dwadzieścia tysięcy wojska amerykańskiego znajduje się na granicy amerykańskiej, jak się jednak zdaje, trudności będą niemałe, gdyż Stany oświadczyły gotowość wycofania swych okrętów wojennych z portów meksykańskich, skoro tylko zabiorą węgiel; ruch mobilizacyjny na granicy ma na celu tylko strzeżenie neutralności.

Prezydent meksykański, Porfirio Diaz, wyraził się publicznie, iż absolutnie nie zgodzi się na wmięszanie się obcego mocarstwa w sprawy wewnętrzne państwa. W mieście Meksyku sklepy mało ucierpiały z powodu niepokojów, przeważnie dotknięta jest północna część kraju. Utrzymuje się przeświadczenie, że powstańcy otrzymują posiłki ze Stanów Zjednoczonych, którym zależy na tem, aby mieć pretekst do przekroczenia granicy meksykańskiej.

Z dziejów zawojowania powietrza.

Coraz śmielsze i coraz trudniejsze przedsięwzięcia awiatorów stały się w naszych czasach tak częste, że prasa notuje już tylko najniezwyklejsze fakta z tej dziedziny. Dwa takie fakta zajmują obecnie obserwatorów podboju atmosfery przez człowieka.



Edward Nowowiejski.

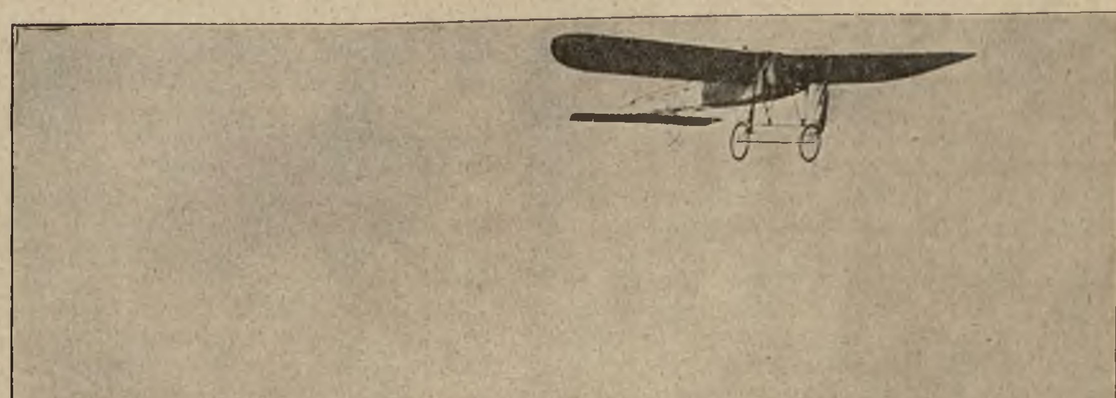
Jednym z nich jest zdobycie nagrody Andrzeja i Edwarda Michelin'ów wyznaczonej półtrzecia roku temu dla awiatora, który z pasażerem przeleci przestrzeń z departamentu Sekwany do Puy-de Dôme w Owernii i wyląduje tam koło obserwatoryum astronomicznego położonego na wysokości 1450 m. Lot trwać miał najwyżej 6 godzin, nie przedstawiał więc specyalnych trudności pod tym względem. Nadzwyczaj niebezpieczną i ciężką rzeczą natomiast miało być wylądowanie na szczycie góry najeżonej skałami. Śmiały żeglarz powietrzny musiał ryzykować nietylko maszynę, lecz i życie.

Po dwu nieudałych próbach zdobycia nagrody, pokusił się o nią awiator Renaux, a pasażerem jego był znany uczestnik wyprawy do bieguna południowego Senoucque. Dzięki biegłości pilota i sprzyjającym warunkom atmosferycznym lot odbył się szczęśliwie, a wylądowanie nastąpiło z nieznacznem tylko uszkodzeniem aeroplanu. Nagroda braci Michelin'ów wynosiła 100 000 franków.

Drugim zajmującym wypadkiem w aeronautyce były wyścigi, odbyte około Nowego Orleanu w Luizyanie pomiędzy aeroplanem a automobilem. Pierwszym sterował znany awiator John Moisant, drugim Józef Seumour. Samochód odniósł zwycięstwo.



Z dziejów zawojowania powietrza: Zdobywcy nagrody Michelin'ów, pilot Renaux i jego pasażer Senoucque.



Z dziejów zawojowania powietrza: Wyścigi między awiatorem Moisantem a automobilistą Seumourem.

Kronika tygodniowa.

Dwie główne sprawy, jakie mamy na porządku dziennym, to: *jupe culotte*, i wybory do rady miejskiej.

Rozpoczynam od ważniejszej z nich, to jest od *jupe culotte*. Nazywam ją ważniejszą dlatego, że obchodzi w tej chwili świat cały, sprowadza rozruchy w Paryżu, Wiedniu, Petersburgu, Berlinie, Budapeszcie, Pradze, Gracu, Debreczynie, Temeswarze i t. d. porusza zagadnienia estetyczne, etyczne, higieniczne, praktyczne, humorystyczne i wszelkie inne z wymienionemi styczne. Ba! jakby wielkie wypadki polityczne, zajmuje ona druty telegraficzne i telefoniczne, a nasze siły publicystyczne, pozostawiwszy na boku sprawy polityczne i awiatyczne oraz popisy footballistyczne, zajmują względem niej stanowisko niesympatyczne.

Dlaczego niesympatyczne, zrozumieć trudno. Wprawdzie dowodzą, że jestto wybryk mody kobiecej, ale przecież do tych wybryków już przyzwyczaić się mogliśmy. A jeżeli ten ostatni wybryk porównamy z poprzednimi, to porównanie przemawia raczej za *jupe culotte*, a w każdym razie nie wypadnie na niekorzyść. Młodsze pokolenie tylko z rycin zna taką np. krynolinę, ale starsi ją dobrze pamiętają: na stalowych obręczach wznosiła się olbrzymia bania, przy ziemi koło 8 metrów objętości mająca. Dwie damy w takich krynolinach spotkawszy się, nie mogły sobie dać buzi, a witały się koniuszkami palców. Gdyby moda ta powróciła, to przy dzisiejszych małych pokojach, nie mogłoby się odbyć żadne większe zebranie towarzyskie, bo cztery takie damy wypełniłyby już cały salon swemi żelaznemi klatkami. Nie mówię już o niewygodzie narzeczonych, którzy w żaden sposób nie mogli dotknąć ust wiśniowych i puszku brzoskwiniowego lub liliowego swych ukrynolinowanych ideałów. Przy wązkich chodnikach takiej np. ulicy Grodzkiej lub Floryańskiej, za panowania krynoliny nie mogłoby nawet być mowy o kursowaniu tramwajów, nie mówiąc już o tem, iż żadna z nich nie zmieściłaby się do tramwaju ani wagonu kolejowego. Prócz niepraktyczności, krynoliny pod względem estetycznym były czemś tak potwornem, że nie dorównały im nawet znane już młodszemu pokoleniu — tiurniury.

I to był piękny wynalazek! Ceny siana i wiór podskoczyły nagle w górę wskutek silnego ich zapotrzebowania. Moda pragnęła upiększyć i wyróżnić zaszczytnie ową niesłusznie od wieków w pogardzie będącą część ciała. I doszły te oficyny do rozmiarów ćwiartówek od piwa i kopców granicznych. Można było w takiej tiurniurze przeszwarcować przez rogatki akcyzowe ćwiartkę cielęciny, dwie gęsi, faskę masła, parę kop jaj, lub tuzin innych podlegających opłacie przedmiotów. Jeżeli dwie damy żegnające się, nagle się zwróciły, następował karambol, a jeżeli jedna tiurniura o drugą zahaczyła i nastąpiło „krótkie spięcie“, trzeba było wzywać pomocy biegłych, aby rozłączyli to, co moda złączyła. Właściciele sklepów galanteryjnych i z „konfekcyą damską“ musieli ze szkodą wystaw rozszerzać wejścia sklepowe, ponieważ zdarzało się, że dama z impetem do sklepu wpadająca uwiązła w szyi przejściowej i trzeba ją było siłą z tej pułapki wyciągać. — A owe ogony na długość metra po ziemi wlokące się i zamieniające ulice i ogrody we fabryki kurzu; idyotyzm połączony z marnotrawstwem. A owe bufiaste rękawy, nadęte jak balony u ramion, a zwężające się ku dłoni, jakby głowy cukru do góry obrócone. A owe wstrętne bluzki zwisające szeroko na dół aż (z przeproszeniem) do pępka, czyniące wrażenie, że ich właścicielka dopiero co niemowlę piersią karmiła. Albo ta ostatnia moda: nogi spętane jak u koni na pastwisku. A owe na głowie raz gniazda bocianie, to znów krzaki kwiatów, trawy i włoszczyzny, albo owe skopki na mleko, niecki, wanienki, balijki, lub najnowsze chanteclery i pokrywy do olbrzymich kotłów, piórami i wstążkami przybrane. Ile znów praktyczności w owych futrzanych boa, noszonych nawet podczas największych upałów. A owe mufki, raz tak małe, że się w nie ręce (przepraszam: rączki) zmieścić nie mogą, to znów tak wielkie, że możnaby w nich nosić przyjaciela domu. A szpilki do kapeluszy? — brr! aż mrowie przechodzi.

Otóż, darujcie mi, panowie publicyści, ale *jupe culotte* nie jest gorszym wybrykiem. Pozwalam sobie nawet powiedzieć, że jest stanowczo lepszą praktyczniejszą i estetyczniejszą, niż krynolina lub tiurniura, pomijając już inne przytoczone przezemnie przykłady dziwactwa mody kobiecej. Nie rozumiem też, co w niej upatrują nieprzyzwoitego. Jeżeli kawałek spodni u dołu jest nie przyzwoity, to o ileż nieprzyzwoitsze są całe spodnie przez nas mężczyzn noszone. Dla ratowania przyzwoitości trzeba nam będzie chyba wleźć w suknie i spódnice. A może nam wypadnie i dekoltować się, bo to jest bardzo przyzwoite. Nie rażą „moralistów“ damy wygorsowane do pasa, ani słowem nikt nie wspomina o strojach kąpielowych, zrywają sobie oczy od patrzenia na trykoty w balecie, a nieznaczny i wszystko szczelnie okrywający rozdział sukni u dołu, wprawia ich w oburzenie. Obłudne świętoszki.

Nie myśl czytelniku, że zachwycam się nową modą. Ale nie głupsza ona od innych, więc o co wrzawa? Że gawiedź uliczna znalazła dla siebie nową zabawę, że próżniaczy motłoch wyprawia skandale, to jeszcze nie racya, aby prasa łączyła się z pauprami. Czy *jupe culotte* chwilowo zatryumfuje (boć moda wciąż się zmienia), czy też ulegnie zaraz w walce z ulicznymi moralistami, to mi zupełnie obojętne, tembardziej, że u nas jestto spór jeszcze teoretyczny, bo andrusi krakowscy nie mieli dotychczas sposobności zamanifestowania w tej sprawie swych uczuć i poglądów.

Odbywa się natomiast walna potyczka poglądów na kwalifikacye przyszłych ojców miasta. Wspomniałem już w poprzedniej kronice, że większość urzędników krakowskich stanęła na gruncie bezpartyjnym i chce wybierać do rady miejskiej tylko dobrych gospodarzy. Stronnictwo *Nowej Reformy* przyjęło tę „nową modę“ z oburzeniem i oświadczyło wszem wobec i każdemu z osobna, że radcami miejskimi powinni być tylko politycy, ponieważ w radzie ścierają się zasady. Kto wie, jaki jest zakres działania rady miejskiej, ten ani rusz nie pojmie, o co idzie. W gospodarce miejskiej mogą się ścierać tylko zasady ekonomiczne, ale nie polityczne. A jeżeli koniecznie trzeba się otrzeć o politykę, to ta polityka nie rozdwaja, a godzi. Od czasu do czasu pojawi się jakaś potrzeba wywnętrzenia się z lojalnością, a wówczas widzimy, jak się stronnictwa prześcigają w tych uczuciach. Należało znowu zaprotestować przeciw gwałtom pruskim — czyż był kto w radzie, któryby usunął się od tego. Jedyną sprawą wewnętrzną, mającą cechę niby polityczną, była reforma statutu miejskiego w kierunku demokratycznym, — a pomimo, że od lat sześciu rządzą w radzie demokraci, reforma ta wisi na kołku, bo jest nie na rękę... niektórym radcom należącym do demokracyi i... żydom. Jeżeli była przedtem jaka walka w radzie, to tylko o stanowiska, synekury, wpływy i wogóle interesy osobiste. Owszem, gdyby było na to miejsce w kronice, możnaby dziesiątkami przykładów zillustrować brak wszelkich zasad politycznych pomiędzy naczelnikami stronnictw radzieckich. A z drugiej strony zdarzały się liczne przykłady, że w sprawach niemających nic wspólnego z polityką, a tylko z interesem jednostek, dzielono się na obozy polityczne. Czem były zaś owe zasady, mieliśmy nieraz rażące dowody w przechodzeniu z obozu do obozu dla względów osobistych. W ciągu ostatnich lat dziesięciu, były nawet dwa przejścia masowe. I niema dziś w całej radzie, między jej dawnymi członkami, nawet dziesięciu takich, którzyby śmiało mogli powiedzieć, że zawsze byli wiernymi swym zasadom. A i pomiędzy tymi wiernymi, znaleźlibyśmy jednostki tylko pozornie wierne, bo znamy fakta, że za kulisami utrzymywały one stosunki zakazane, zdradzały swe „najświętsze przekonania“ i swych towarzyszów broni.

Więc w ową politykę rady miejskiej mogą wierzyć tylko naiwni. Nie osoby w niej służą hasłom, ale hasła osobom. I z taką polityką należałoby raz skończyć, raz wprowadzić do rady ludzi, którzy pragną pracować dla dobra miasta i jego mieszkańców, a nie dla dobra własnego. Trzeba dobrych gospodarzy, a nie kiepskich polityków. Więc brawo urzędnikom, jeśli o tem myślą, byleby stronnictw nie zamienili na kasty, bo byłby to „ten sam sztuk na inny manier“.

A o dobrą gospodarkę wszędzie trudno. Żalił się na to p. minister skarbu, a między innemi zauważył, iż „krytycznym elementem w gospodarce 1910 r. są koleje żelazne“. Jakto? jeszcze krytycznym? pomimo ciągłego podwyższania taryf, pomimo, że dwa razy tyle kosztują dziś bilety kolejowe, niż kosztowały przed laty 15. Kto wie, czy właśnie ta mądra polityka podwyższań nie jest przyczyną tak smutnych rezultatów. Bo w ościennych państwach trzymają się wprost innej polityki i źle na tem nie wychodzą. Obecnie urzędowo zaznacza rosyjskie ministeryum komunikacyi, że po zniżeniu taryfy osobowej w r. 1910, dochody kolei państwowych znacznie się zwiększyły. Od 14 lipca 1910 do 14 stycznia 1911, a więc przez pół roku, sprzedano 52 miliony biletów, t. j. o 3 miliony więcej, niż w tymże czasie roku poprzedniego. Finansowo zysk zwiększył się o 2 miliony rubli. Wskutek zniżenia taryfy najwięcej wzrosła ilość pasażerów II klasy, bo o 20%, nieco mniej klasy I. bo o 13%, pomimo że nie ubyło pasażerów i III klasy, owszem przybyło ich 2.7%. Jaka zaś jest różnica między rosyjską a austryacką taryfą osobową, niech służy za przykład cena biletu z Granicy do Petersburga. Klasa II kosztuje koło 40 kor., klasa III 25 kor. — w Austryi za taką samą przestrzeń płaci się w klasie II 60 kor., w klasie III 34 kor.

Za przykładem c. k. rządu idzie i nie c. k. autonomia. Długo i szeroko rozstrząsano w naszej radzie miejskiej upadek teatru krakowskiego. Nawet komisya teatralna, której powszechnie zarzucano, iż idzie na rękę dyrektorowi, zdobyła się na stwierdzenie, że „w tragedyi teatr nasz jest mało dostojny, w farsie mało ruchliwy, a w komedyi przeważnie (więc nie całkiem) bez zarzutu. Przytaczali skandalicznie wystawionego Fredrę, wskazywali na ubytek sił wogóle, a prawie zupełny brak sił żeńskich. Byli tacy, co wprost mówili, że dyrektorem aktor być nie powinien. Zapewne huraganem śmiechu przyjętoby w radzie zdanie *Kuryera warszawskiego*, że p. Solski jest „opatrznościowym“ kierownikiem, że „scena krakowska stanęła pod nim u szczytu, nietylko jako świątynia sztuki dramatycznej ale jako przybytek wielkiej poezyi“, że „teatr krakowski staje się akademią sceniczną“. Ale tej „opinii“ *Kuryera* nie odczytano, więc śmiechu nie było. Było raczej przygnębienie na widok staczającej się do poziomu teatrów prowincyonalnych sceny krakowskiej.

I wymyślono na to radę: podwyższenie ceny biletów. Sens w tem zapewne ma być taki: będzie większy dochód, to i dzierżawca większe czynić będzie wkłady. Ale to proste złudzenie, bo w rzeczywistości: będą bilety droższe, to przedsiębiorca będzie miał większe dochody. Teatr byłby dobry, gdyby komisya teatralna seryo spełniała swe zadanie, a nie grała, jak zwykle, roli opiekuna dyrekcyi. Ale może i toby nie pomogło. Wszak była chwila, że za Kotarbińskiego jeden z członków komisyi bez ogródek przedstawił w swem sprawozdaniu smutny stan sceny, ale chociaż oklaskami za tę „odwagę“ mu dziękowano (śmieszna rzecz, że wypowiedzenie prawdy nazywa się u nas odwagą), to przecież zakulisowa agitacya doprowadziła do tego, że... dyrekcyi w nagrodę wypłacono jeszcze dodatkową subwencyę.

Na zakończenie kroniki parę faktów pocieszających, lecz zecer mówi, że brak miejsca, a więc do następnego numeru.

W sprawie Naszej Wielkiej Szarady!

Losowanie nagród, przeznaczonych za trafne rozwiązanie Wielkiej Szarady konkursowej odbędzie się nieodwołalnie **w sobotę dnia 18 marca przed południem.**

Przyznanie nagrody za największą ilość wyrazów utworzonych z podanych liter nastąpi później, po skontrolowaniu nadesłanych spisów.

Echa politycznej zbrodni.

Po raz drugi przyszła przed sąd przysięgłych sensacyjna a tak żywo dotąd w pamięci Krakowa tkwiąca sprawa zabicia Stanisława Rybaka, funkcyonaryusza biura zarządu głównego Tow. Szkoły Ludowej, zabicia za to, iż miał uprawiać szpiegostwo i prowokatorstwo. Oskarżonymi o spełnienie morderstwa, o wykonanie samosądu partyjnego są Stanisław Trudnowski i Michał Sadowski, obaj z Królestwa rodem, pierwszy jako sprawca zbrodni, drugi jako współwinny.

Jak wiadomo, zamordowanie Rybaka nastąpiło w pierwszych dniach sierpnia z. r., w samo południe, w najruchliwszej stronie miasta, bo przy placu Maryackim. Rybak padł, ugodzony kulą brauningową, zabójca zaś jego, Stanisław Trudnowski, został natychmiast uwięziony. Już w chwili aresztowania i następnie w czasie śledztwa policyjnego i sądowego utrzymywał zabójca, iż czyn jego był tylko wykonaniem wyroku, wydanego przez „Narodowy Związek robotniczy“ na Rybaka, jako na szkodliwego zdrajcę i szpiega, zapewniał też, że wyznaczony losem do spełnienia tego wyroku, nie miał żadnych wspólników. Śledztwo atoli dostarczyło pewnych poszlak, iż i drugi obwiniony, Michał Sadowski, był w tę sprawę wmięszany, na tej też podstawie prokuratorya państwa oskarżyła i Trudnowskiego i Sadowskiego.

Pierwsza rozprawa, która wyznaczona została na listopad u. r., została zaraz na początku odroczona a to na skutek żądania obrońcy, dr. Z. Marka, który domagał się uzupełnienia śledztwa przez przesłuchanie całego szeregu osób; zeznania bowiem tych osób miały rzucić na tajemniczą bądź co bądź sprawę dużo światła. Chodziło zwłaszcza o jak najskrupulatniejsze wyjaśnienie stosunków Rybaka, przedewszystkiem, czy uzasadnione było podejrzenie, iż uprawiał on szpiegostwo polityczne, o co go członkowie „Narodowego Związku robotniczego“ ogólnie posądzali. Pierwotne śledztwo zaś, przeprowadzone przez sędziego śledczego dra Bossowskiego, nie dostarczyło konkretnych dowodów winy Rybaka pod tym względem. Wielu bowiem dobrych znajomych Rybaka zeznało, iż i on sam i jego żona mieli żyć w wielkiem ubóstwie, co byłoby w jaskrawej sprzeczności z opowieściami o ogromnych dochodach i honoraryach za zdradzanie tajemnic politycznych pobieranych. Także inne zarzuty przeciw Rybakowi przedstawiał akt oskarżenia tylko jako niesprawdzone pogłoski. Natomiast obrona podała na rozprawie pierwszej szereg dowodów na szpiegostwo Rybaka i celem uzupełnienia śledztwa rozprawa została odroczona.

Ponowny proces rozpoczął się w ubiegły wtorek przed nową ławą przysięgłych, której przewodniczy st. radca dr. Jasiewicz. Prokuratoryę państwa zastępuje dr. Wajda, stronę poszkodowaną zaś adwokat dr. Szalay, broni obu oskarżonych adwokat dr. Zygmunt Marek. Rozprawa zapowiada się bardzo interesująco, a potrwa conajmniej dwa tygodnie.

Olbrzymi proces.

(Do illustracyi na str. 4).

Smiano się nieraz z bujnej wyobraźni powieściopisarzy w rodzaju Gaboriau lub Dumasa, przedstawiających liczne, wyśmienicie zorganizowane i niegorzej od bitnej armii działające bandy zbrodniarzy. A jednak przekonywamy się obecnie, że istnienie podobnych band jest możliwe, a rzeczywistość do



Echa politycznej zbrodni: Stanisław Trudnowski.

pewnego stopnia przewyższa nawet fantazyę twórczą autorów powieści kryminalnych. Trudno poprostu uwierzyć w relacye gazet włoskich o zbrodniczych związkach w rodzaju maffii i kamorry, gdyby relacyi tych nie potwierdzały akta sądowe, oparte na żmudnej i pełnej niebezpieczeństw pracy władz śledczych. Potworne te stowarzyszenia, rozgałęzione po całych Włoszech i liczące olbrzymią ilość członków, tworzyły formalne państwo w państwie, rozporządzały bajońskiemi sumami, przeprowadzały plany morderstw, fałszerstw i rabunków z przerażającą precyzyą. Posiadały one również liczny zastęp szpiegów, którzy kontrolowali działalność poszczególnych członków i składali raporty przełożonym. W ten sposób rozciągały stowarzyszenia te nad swymi członkami ustawiczną kontrolę, a w razie wykrycia zdrady załatwiano się z danym osobnikiem równie szybko, jak niezawodnie. Nie pomagała w takich wypadkach ochrona policyjna ani żadne inne środki ostrożności, winny musiał zginąć, a mordercy jego pozostawali najczęściej bezkarni, gdyż za nimi stał potężny związek, umiejący zawsze przeprowadzić swą wolę.

W r. 1906 znaleziono w pobliżu Neapolu trupa niejakiego Cuocolo, a w mieszkaniu jego zamordowaną żonę. Śledztwo wykazało, że była to zemsta, a raczej wykonanie wyroku kamorry. Sprawa dostała się w ręce gorliwego i odważnego urzędnika, który zdołał przezwyciężyć piętrzone przez rozpaczliwie broniących się kamorrystów przeszkody i zdemaskował 43 członków straszliwego związku. O trudnościach, na jakie napotykał, daje wyobrażenie fakt, że dzielny urzędnik został przed kilku miesiącami uwięziony na podstawie fałszywego oskarżenia i po wydostaniu się na wolność zaledwie zdołał napowrót nawiązać splątane i porwane nici śledztwa.

Obecnie przyszła dla niego chwila tryumfu. W Viterbo koło Rzymu rozpoczął się proces przeciwko kamorrystom. Wobec wielkiej liczby oskarżonych i świadków potrwa on z górą pięć miesięcy, budzi zaś ogólne zainteresowanie ze względu na liczne zbrodnie kamorry, które zapewne w jego toku wyjdą na jaw, a także ze względu na wysokie stanowiska niektórych obwinionych. Będą to ciekawe zapasy sprawiedliwości z liczną i potężną bandą zbrodniarzy.

Illustracye nasze przedstawiają więzienie w Viterbo, w którem trzymają obecnie 43 kamorrystów, jedną z cel tego więzienia, skrzynię z nagromadzonymi, jako materyał dowodowy, dokumentami, której nie odstępują przeznaczeni do jej strzeżenia karabinierzy oraz rodzaj klatki, używanej w sądach włoskich dla oskarżonych podczas procesów.

Epilog demonstracyi teatralnych.

(Do illustracyi na str. 9).

Sangwiniczne usposobienie Francuzów odzwierciedla się zarówno w ich życiu politycznem jak w stosunkach literackich i artystycznych. Dzięki temu autor dramatyczny, wystawiający nową sztukę, naraża się częstokroć na demonstracye ze strony ludzi, u których nie cieszy się sympatyą.

Taki wypadek zdarzył się niedawno znanemu dramaturgowi Henrykowi Bernsteinowi. Podczas premiery sztuki jego „Après moi“ urządziła młodzież antisemicka i rojalistyczna, znana w Paryżu pod nazwą kamelotów króla, szereg scen burzliwych. Bernstein jest żydem i swego czasu uciekł był do Belgii przed służbą wojskową. Jedno i drugie wypominali mu publicznie jego prześladowcy, wtrącając się mniej lub więcej dowcipnie do dyalogów jego nowego utworu. Gdy naprzykład jeden z bohaterów jego wyrzekł słowa „Jestem tchórzem i nikczemnikiem“, ozwał się z galeryi głos: „Podobnie jak au-



Echa politycznej zbrodni: Staś Rybak, dziecię zamordowanego.

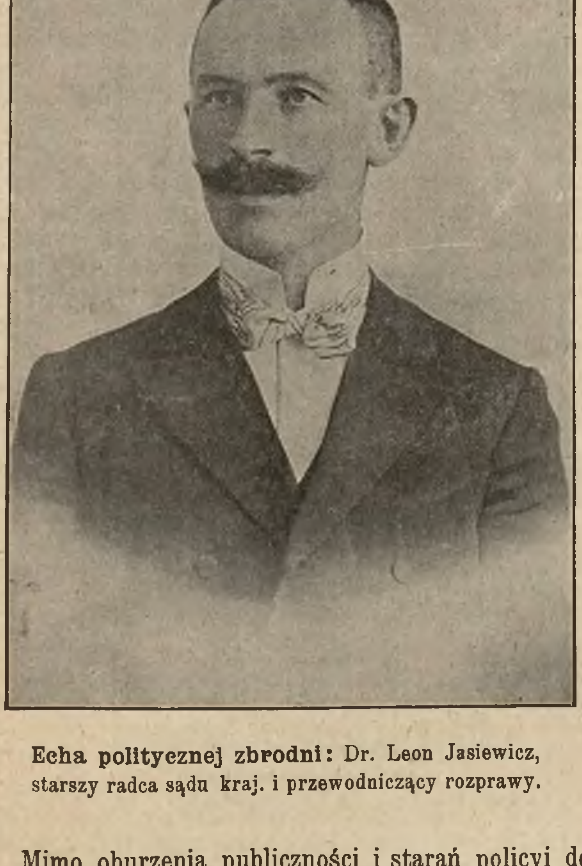


Echa politycznej zbrodni: Zamordowany Stanisław Rybak.



Echa politycznej zbrodni: Wdowa po zabitym, Adela Rybakowa.

tor sztuki, bo bał się służyć ojczyźnie jako żołnierz uciekł do Belgii". Parokrotnie odzywały się w teatrze trąbki automobilowe. Pomysłowi demonstranci nauczyli się również naśladować sygnał, nakazujący maszyniście teatralnemu spuścić kurtynę i urządzili ten figiel w środku któregoś aktu. Maszynista jednak był uprzedzony i zamiar ich spełzł na niczem.



Echa polityeznej zbrodni: Dr. Leon Jasiewicz, starszy radca sądu kraj. i przewodniczący rozprawy.

Mimo oburzenia publiczności i starań policyi demonstracye powtórzyły się na następnych przedstawieniach i ostatecznie Bernstein widział się zmuszonym ustąpić i sztukę cofnąć, a w gazetach ogłosił list otwarty, w którym przyznał się do zarzucanego mu grzechu młodości i oświadczył, że go żałuje. Oburzony jednak na demonstrantów, wyzwał jednego z nich, Leona Daudet, na pojedynek. Ponieważ ten odmówił mu satysfakcyi, Bernsteina zastąpił Jerzy Claretié, syn dyrektora Komedyi francuskiej i spotkanie przyszło do skutku.



Echa polityeznej zbrodni: Adwokat dr. Ludwik Szalay, zastępca rodziny zamordowanego.

Warunki były dość ostre, gdyż po bezskutecznej wymianie kul nastąpiło spotkanie na szpady, w którem Claretié odniósł ranę w pierś. Rana ta, jakkolwiek lekka, odebrała mu zdolność dalszej walki i w ten sposób pojedynek zakończył się względnie szczęśliwie.

Edward Nowowiejski.

Najbliższy koncert krakowskiego towarzystwa muzycznego, zapowiedziany na piątek 17 b. m., poświęcony będzie twórczości genialnego Beethovena, którego kilka dzieł wykona orkiestra towarzystwa oraz młody pianista, Edward Nowowiejski.

Edward Nowowiejski jest bratem dyrektora towarzystwa muzycznego i znakomitego kompozytora, Feliksa i podobnie jak on oraz reszta rodzeństwa, ks. Rudolf i Marya, śpiewaczka, obdarzony wybitnym talentem muzycznym, poświęcił się karyerze artystycznej. Studya, rozpoczęte w domu, kontynuował w królewskiej Akademii muzycznej w Berlinie, jako uczeń profesorów Börnera, Bartha i Rudorfa. Ukończył je z wynikiem doskonałym, a o zdolnościach jego i głębokiem wykształceniu świadczy najlepiej okoliczność, iż mimo bardzo młodego wieku, ukończył bowiem dopiero 22 rok życia, został mianowany profesorem słynnego konserwatoryum Sterna w Berlinie.

Edward Nowowiejski jest pianistą znakomitym, a koncerty jego w Berlinie, Warszawie i innych miastach zjednały mu już sławę niepoślednią, zwłaszcza jako wykonawcy utworów Beethovena, Mozarta i Chopina.

To też i w Krakowie współudział jego w piątkowym koncercie wywołał bardzo żywe zainteresowanie.

Marokańskie kłopoty Francyi.

(Do illustracyi na str. 10).

Od lat kilku wywiera tok spraw marokańskich wpływ na politykę europejską. Scieranie się interesów różnych państw w tym kraju wywołuje raz po raz zawikłania i zatargi, którym napróżno starają się zaradzić polityey. Kres tym zawikłaniom miała swego czasu położyć konferencya w Algesiras, zdaje się jednak, że zamiast usunąć ich przyczyny, wywołała ona raczej nowe.

Najbardziej zaangażowana jest w Maroku Francya, która zmuszona jest obecnie bagnetem popierać ekonomiczne interesa swoich poddanych. Ponieważ zależy jej na utrzymaniu na tronie obecnego sułtana, Muleja Hafida, postarała się o reorganizacyę na sposób europejski jego armii i wyposażyła ją w pewną liczbę swoich instruktorów, a francuscy oficerowie dowodzą nią teraz w walce z pretendentem Abdulem Azisem.

Równocześnie zagraża Francuzom wrogi im i Europejczykom wogóle szczep Zaerów, który przed paru miesiącami urządził zasadzkę na ekspedycyę francuską, zabijając kilku ludzi, między nimi porucznika Marchand. Przeciwko szczepowi temu uchwaliła w tych dniach izba deputowanych wysłać dwa bataliony piechoty. W ten sposób siły republiki w Maroku wzrosną do dwu tysięcy żołnierzy i prawdopodobnie śmierć Marchanda będzie w krótkim czasie pomszczona, jak tego wymaga powaga mocarstwa.

Do tych kłopotów przyłączyła się jeszcze jedna okoliczność, a mianowicie nieufność sułtana i Marokańczyków, a więc sprzymierzeńców, do obcych. Ofiarą tej nieufności padł komendant Mangin, zamordowany przez syna jednego z marokańskich ministrów. Naturalnie sułtan obiecał zupełne zadośćuczynienie, ale podobne fakta napawają Francuzów obawą, że ich obecni sojusznicy mogą w danej chwili zwrócić się przeciw wojskom rzeczypospolitej.

Illustracye nasze przedstawiają grupę francuskich instruktorów w armii sułtana oraz bateryę dział szybkostrzelnych systemu Schneidra, wypożyczoną wraz z oddziałem artyleryi sułtanowi dla walki z powstańcami.

Tajemnicze zniknięcie.

W pierwszych dniach grudnia z. r. wyjechała z Tarnowa 20-letnia panna Eleonora Głowska do Warszawy, przyjąwszy obowiązek u artystki śpiewaczki Maryi Pawlikównej. W Warszawie zamieszkały obydwie w hotelu Savoy. Po pewnym czasie Głowska opuściła służbę i od tej chwili wszelki ślad po niej zaginął, wiadomo tylko, iż w połowie stycznia opuściła ponownie granice Królestwa i przejechała przez Szczakowę.



Echa polityeznej zbrodni: Adwokat dr. Zygmunt Marek, obrońca Trudnowskiego.

Na prośbę zaniepokojonego zniknięciem córki ojca, p. Michała Głowskiego z Tarnowa, zamieszczamy obok podobiznę zaginionej, z tem, aby wszelkie wiadomości o niej raczyły osoby poinformowane przesłać wprost ojcu.



Tajemnicze zniknięcie: Eleonora Głowska z Tarnowa, która wyjechała w grudniu do Królestwa polskiego i od tego czasu nie dała znaku życia o sobie.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 9.

Logogryf:

P ł a c a
M a r t a
M o r w a
A s n y k
W a r ę ż
B z u r a
K o z a k
S y n o d
M l e c z

Zagadka przysłowiowa: Co godzina zatraci, czasem wiek nie zapłaci.

Zan
Aga
Bal
Ule
Róg
Zet
Ely
Nos
Inn
Ara
Ufa
Nil
Iły
Wal
Eta
Rak
San
Yak
Ton
Era
Cis
Kra
Iwo
Ewa

Krzyż magiczny:

Z S S
u h e
Z u z a n n a
S h a n n o n
S e n n a a r
n o a
a n r

Logogryf:

Z o o l o g i a
Z a n z y b a r
K a p e l u s z
Z a k o n n i k
K a m e l e o n
G a d o m s k i
S ł o w a c k i
K o ł o m y j a

Szarada: Jaskółka.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: I. Langrock Mińsk, H. Zaleski Wilno, J. Lipski Kraków, M. Zawadowska Warszawa, J. Reiner Łódź, H. Dębiński Kraków, J. Drobot Lwów, Z Pniewski Poznań, J. Gostwicki Tarnopol, M. Skąpska Kraków, J. Brożek Cieszyn, M. Zerygiewicz Rawa, M. Sonnenreich Stanisławów, S Turek Wiedeń, J. Klemensiewicz Lwów, K. Żebrowska Lwów, W. Zalewski Przemyśl, H Sosnowski Krosno, H. Nowakowski Lwów, M. Bogucki Kraków, D. Gilewski Sanok, H. Kopystyński Janow, M. Wróblewska Wiedeń, Z. Fedorowicz Jasło, L. Bartmański Lwów, H. Włodek Kraków, S. Gąsior Kraków, W. Niemiec Stanisławów, J. Burzyński Drohobycz, J. Bigo Sanok, M. Antosz Złoczów, J. Pick Łódź, Z. Rogozińska Stanisławów, H. Jastrzębski Kraków, K. Brudziński Oświęcim, J. Horak Cieszyn, K. John Rozwadów, S. Bednarski Skawina. S. Krzyżanowski Kraków, J. Topolnicki Sądowa Wisznia, M. Planecka Kraków, F. Gebhardt Kraków, S Więckowska Sanok, J. Wyka Sambor, H. Zachara Krosno, K. Radziszewski Piotrków, J. Ostrowski Sandomierz, W. Świrski Staszów, M Bandrowski Kraków, J. Kwaśniewski Piotrków, K. Łapiński Rzeszów, R. Zawadzki Tarnobrzeg, A. Knapińska Bochnia. K. Kaim Kraków, S. Kowalówka Kraków, R. Kinalski Kraków, H. Scholz Lwów, J. Nowacki Sambor, K. Bernatowicz Jaworów, H Radoszewski Bochnia, D. Engelberg Rzeszów, Ch. Wang Tarnów, J. Klappholz Rzeszów, S. Misiewicz Tarnobrzeg, M Rosenbaum Nisko. I Brzostowski Kraków, Z. Tokarski Warszawa, M. Wojkowski Tarnopol, W. Łopatkiewicz Jarosław, W Ossowski Warszawa, A. Biliński Tarnopol, O. Górkowa Chyrów, K Gliński Złoczów, J. Balicki Stanisławów, H Sawicki Krosno, K. Spławiński Warszawa, J. Boroń Cieszyn, J. Jahoda Cieszyn. M. Stankiewicz Kołomyja, K. Piątek Podwołoczyska, S Sygnarska Kraków, J. Witosławski Podgórze, J. Silbermann Podgórze, M. Włodarski Kraków, S. Albin Czestochowa, J. Lemański Warszawa, M. Goldberg Łódź, H. Rieger Sanok, D Sedyńska Kraków, R. Knapik Kraków, J. Kopczyńska Tarnów, W. Potocka Jasło, M. Wiewiórowska Jasło, T. Tokarski Kraków, L. Stępień Budapeszt, K. Fuchs Czeremchów, W. Sabatowicz Kraków, K. Turecka Tarnopol, B. Rzepecki Borysław.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **K. Brudziński, Oświęcim** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Odpowiedzi Redakcyi.

WP. S. Bobula, Kraków, Zgoda l. 4.: Widocznie list zaginął, wszystkie bowiem nadesłane nam rozwiązania umieściliśmy w spisie.

WP. J. Lefas, Warszawa: Nadesłane zagadki są dobre, umieścimy wszystkie w swoim czasie.

WPan Tomasz Szydłowski, Łódź: Warunek, o którym WPan wspomina, nie obowiązuje wcale P. T. Prenumeratorów z zagranicy.

WP. K. Jazienicki, Małkowice: Zapisane pod nr. 983.

WP. J. Ramoszyńska, Skwarzawa: Zapisane pod nr. 1490.

WP. J. Link, Kraków, ul. Długa 41: Zapisane pod nr. 1373.

WP. J. Michalski, Lwów: Niestety, nie nadają się pod żadnym względem!

WP. B. Rutkowska Piotrków: Dziękując za już, prosimy o jeszcze! W miarę miejsca umieścimy wszystko.

WP. Do... Jord...: Przy zadaniach konikowych można numerować pola, co ułatwia nam kontrolowanie, można jednak oszczędzić sobie mozolnej pracy.

WPan Fr. Dulapa, Lwów, Piekarska 16,: Owszem, jest Pan pomieszczony. trzeba tylko dokładnie szukać! Proszę popatrzyć pod nr. 1141!

Głosy publiczne.

Z Cyrku Edison: Od dnia 17 do 23 bm. włącznie nowy doborowy program, na który złożą się pouczające zdjęcia z natury: „W stolicy nad modrym Dunajem". „Święto ryżu w Kioto". „Fabrykacya lalek w Paryżu".

Atrakcyą programu będzie jak zawsze Żurnal Pathego — aktualny i pouczający przegląd wypadków ostatniego tygodnia w dziedzinie polityki, sportu, sztuki i t. d. „Clou" Żurnalu Pathego stanowią oryginalne zdjęcia ostatnich mód paryskich „Jupe-Culotte" na wyścigach i ulicach Paryża Programu dopełni interesujący dramat kolorowany „Walka o narzeczoną" i „Stary aktor" oraz kilka innych zdjęć o treści humorystycznej.

Z półek księgarskich.

„Pan Mecenas", komedya w 3 aktach, napisana przez Leopolda Süssera, a znana publiczności krakowskiej, z przedstawień w teatrze ludowym, wyszła obecnie w druku nakładem autora „Pan mecenas", komedya bardzo poważna, jest dziełkiem zasługującem na baczną uwagę. Młody autor, znany już z grywanych na scenach amatorskich utworów „Tetmajer" i „Grzechy dzieciństwa", sięgnął tym razem do stosunków w świecie prawniczym a znając je doskonale, stworzył rzecz interesująca bardzo, pełną życia i prawdy. Nic dziwnego też, że sztuka p Süssera zyskała duże powodzenie i w teatrze krakowskim i w Sosnowcu, gdzie ją również kilkakrotnie wystawiono. Wydanie książkowe, bardzo staranne, zdobi piękna okładka z winietą tytułową.

Nasi wielcy pisarze. *Adama Mickiewicza.* **Pisma.** Wydał, objaśnił, wstępami poprzedził Józef Kallenbach. Tom I. Nakładem księgarni F. Westa w Brodach. 1911.

Zbiorowe wydanie pism naszego największego Wieszcza, którego pierwszy tom ukazał się w handlu księgarskim, pragnie być w całem a dobrem tego słowa znaczeniu popularnem, to jest chce być dostępnem dla ogółu niezamożnego a pomimo niskiej ceny starannem i opartem bądź to na autografach bądź też na pierwszych wydaniach z uwzględnienem badań krytycznych tekstu. Daje ono pisma Mickiewicza w ich chronologicznem następstwie, zwięzły wstęp do każdego tomu objaśnia najważniejsze kwestye dotyczące treści i czasu powstawania utworów. Ponadto pomieszczono wybór najbardziej charakterystycznych utworów młodocianych Poety, wydanych z Archiwum Filomatów.

Księgarnia nakładowa nie szczędziła zabiegów i kosztów, byleby wydanie niniejsze stanęło na wysokości słusznych wymagań wykształconego ogółu, od niego też zależy, czy spełni ono swój cel i dotrze do najdalszych i najniższych warstw naszego społeczeństwa, szerząc umiłowanie ideałów duchowego Wodza Narodu!

Ozdoby według rysunków Stanisława Pichora.

Tadeusz Zubrzycki **Ludzie-Olbrzymy** cykl fragmentów z doby napoleońskiej Nakładem księgarni Jana Maniszewskiego we Lwowie Cena 2 kor. 40 hal.

Jestto nader interesująca i barwnie napisana książka, na treść której złożyło się dwadzieścia obrazków z czasów napoleońskich. Autor opowiada nam o owych czasach „górnych i chmurnych", kiedy ci najszlachetniejsi synowie naszej ziemi, greckim bohaterom podobni szli za orłami wielkiego cesarza w tej nadziei, że on ich ziemię wolną uczyni. Rzecz napisana z wielkim polotem i z zacięciem literackiem.

Ze świata kobiecego.

Wielki „ewenement“, rozgorączkowujący świat, co się interesuje modami a może więcej jeszcze ten świat, co się kobiecemi modami dotąd nie interesował — świat męski — u nas w Krakowie przeszedł w olimpijskim spokoju. Polskie Ateny nie zadały kłamu swej nazwie: poszły tłumnie do teatru w dzień, w którym się dowiedziały, że jedna z artystek zamierzyła zaprezentować ze sceny nową kreacyę mody: *jupe culotte* — poszły, przyjrzały



Rys. 2 Żakiecik wiosenny angielskim krojem.

się z uśmiechem pobłażliwym temu kaprysowi mody, który zresztą zaprezentował się bardzo wdzięcznie w swem wcieleniu ze złoto-żółtego jedwabiu — i nawet odważną artystkę nagrodziły za sprawioną im sensacyjkę — oklaskiem. Nie ciskano się, jak gdzieindziej, nie gniewano za to drobne uroszczenie dorównania, na tak niewinnem polu, płci silniejszej; uśmiechnięto się tylko — i koniec końcem, jak to stanie się i gdzieindziej zapewne, tylko, że po różnych niezbyt przyjemnych dla pionierek nowej mody przygodach — przejdą wszyscy nad nią do porządku dziennego. Bo wątpić należy, aby którakolwiek z pań naszych odważyła się tak dalece, by w stroju tym wyjść na ulicę. A to dopiero stanowiłoby o powodzeniu, ekscentrycznej bądź cobądź, mody. W Paryżu natomiast zdeklarowano jej zaciekłą walkę. Klin klinem się wybija, powiedziano sobie. I w imię tej zasady jedna ze scen tamtejszych wznowiła dawną sztukę Wiktoryna Sardou „*La famille Benoiton*“, grywaną i u nas przed laty, a że rzecz dzieje się w epoce dość odległej, przybrała występujące w niej artystki w antytezę *jupe culotte* — w krynoliny. Co się przyjmie? Co uznają za lepsze? — Obcisłe spodeńki, czy rozdętą krynolinę? Oto pytanie, nie hamletowskie wprawdzie ale krawieckie. Istna burza w szklance wody. Shakespearowskie „*Much ado about nothing*“. — Tymczasem choć niektóre z francuskich luksusowych dzienników mód pomieściły przeróżne waryanty sukien nowego kroju, większość wykazuje tylko poprzednią *jupe-collante*, obcisłą po dawnemu z całym szeregiem bardzo ładnych żakiecików o kroju francuskim lub prostszym angielskim, długie płaszcze wiosenne, również dość obcisłe a pełne mimo to wdzięku i wreszcie jako nową kreacyę *robe-manteau*, połączenie płaszcza zwierzchniego z suknią. Jeden z takich płaszczów wiosennych właśnie przedstawia model nasz 1. — Elegancki wzór ten jest pełnym wdzięku i niezwykle stylowym a równocześnie obok całej strojności praktycznym. Wykonany z czarnego jedwabnego *doublé* zaopatrzony jest w jasny kołnierz bądź *ivoir* bądź *drap* marynarski z klapami; rękaw dość luźny może być długi całkiem, półkrótki, lub *trois-quarts* i zakończony takimż jak kołnierz mankietem. Mimo całej swej prostoty jest on skończenie wytwornym, zwłaszcza gdy wykonanym będzie w dwukolorowym



Rys. 3. Suknia ślubna z białej *charmeuse* ze stanikiem z koronki *chantilly*.

doublé. Wzór 2. daje jedną z wielu odmian angielskiego żakiecika. Jest on lekko wcięty, z tyłu długości 71 cmt.; kołnierz marynarski zaokrąglony, przedłużony z przodu, odmiennego koloru; rękaw może być krótszym lub dłuższym, wedle upodobania, ewentualnie zaopatrzony w mankiet innej barwy. Dolna część żakiecika wykazuje przedłużenie tejże samej barwy, co kołnierz. Bardzo elegancko wygląda ten model z wysokim mankietem objętym tak jak i kołnierz taśmami; do niezwykłości kroju przyczynia się szew boczny, nadający mu piętno odrębności. Wykonany jest z lekkiego wełnianego materyału wiosennego, szewiotu, sukienka lub Panamy; ale może być też z *pongy*, jedwabiu shantung z czarnym atłasem na kołnierzu, mankietach i dolnej obsadzie.

Ponieważ jednym z pierwszych wiosennych sprawunków musi być ta zwierzchnia część stroju, podajemy co jest najmodniejsze w tym kierunku. — Rysunek 3. daje nam suknię ślubną, którą zamieszczamy ze względu na bliskość św. Józefa, którego święto, jako przypadające w pierwszej połowie postu, upoważnia w tym roku do zawierania małżeństw.

Z wiosną powraca znów swobodna bluzka, która w zimowym sezonie ustępować musiała miejsca pretensyonalniejszym i wyszukanym w swych kombinacyach stanikom; bluzka wszakże wycięta nieco,



Rys. 1. Płaszcz wiosenny z czarnego jedwabnego *doublé*.

z przystosowaniem jasnej szmizetki, lub szerokiego odwiniętego, koronkowego czy haftowanego kołnierzyka; rękaw w nich jest znacznie poszerzony, półkrótki i po większej części zaopatrzony w mankiet. Przy strojniejszych sukniach utrzyma się i w lecie tunika w licznych tylko oczywiście odmianach i z zastosowaniem dwu materyałów odmiennych. Rękawy kroju japońskiego t. zw. kimono utrzymują się w wiosennych toaletach paryżanek stale; do lekkich krótkich sukien znajdą przystosowanie szerokie dołem wolanty i szarfy z wiązanych z przodu lub boku wstążek. *Mora.*

Fryderyk Mauzens.

PARYSKIE GADY.

49

— Tak... To słuszne... Lecz baron, — jestem tego pewny — jest równie niewinny, jak jego córka... Dlaczego jego o tem nie uwiadomić, by przygotował do tego ciosu Kamillę? — zapytał Maurycy.

— Ani inteligencya, ani charakter barona nie pozwalają przypuszczać, by się dobrze wywiązał z tej roli — odpowiedział Lewis Jackson.

— A pan?... a Piotr?... Nie mogą się panowie tego podjąć?...

— Ja jestem zupełnie obcy dla tej młodej panny... Piotr zaś nie panuje nad sobą...

— Dobrze! Pójdę!

I Maurycy otarł swe czoło zroszone potem.

— Ach! — dodał amerykanin. — Przyznaję, że to jest bolesna rzecz!

— Nie, to jest cała droga krzyżowa na Kalwaryę.

Inżynier był blady. Skierował się mimo to odrazu do wyjścia.

— Idzie pan na ulicę Ampère? — zapytał jeszcze Lewis Jackson.

— Natychmiast!

— A my do schroniska świętej Anny!

I miliarder, podnosząc głos, rozkazał wszystkim:

— W drogę!

IX.

Było już wpół do jedenastej, gdy wielki samochód, wiozący obydwóch amerykanów, Piotra, Ewę i Panajona zatrzymał się na ulicy Cabanes przed monumentalną bramą, nad którą powiewała trójkolorowa chorągiew. Lewis Jackson wyszedł pierwszy i zadzwonił do małej furtki, znajdującej się opodal bramy. Drzwiczki otworzyły się i przez nie wszedł miliarder, a za nim reszta towarzystwa.

Portyer zakładu leczniczego spotkał ich przy bramie.

— Chcemy widzieć jedną chorą — rzekł Lewis Jackson.

— Proszę iść tą aleją — wskazał służący — i na końcu jej na prawo znajdą państwo Dyrekcyę... Tam należy się zgłosić ze swem żądaniem.

Przyjaciele Ludwiki udali się we wskazanym kierunku i po przejściu wspaniałej alei, wysadzonej wielkimi kasztanami, ujrzeli przed sobą budynek z napisem: Zarząd. Na spotkanie ich wyszedł woźny zakładu.

— Czy można widzieć się z dyrektorem? — zapytał Lewis Jackson.

Przybyłych wprowadzono natychmiast do skromnie umeblowanego gabinetu, gdzie przyjął ich poważny i uprzejmy dyrektor.

— Ach! Proszę mi wybaczyć! — rzekł przy pierwszych słowach miliardera. — Powinienem był poznać odrazu tak popularną wszędzie postać króla stu dwudziestu koni! A więc pan ma nadzieję — mówił dalej, zwracając się do Piotra — poznać tę nieszczęśliwą, która wymówiła pańskie nazwisko?

— Tak, panie — odrzekł stłumionym głosem młody człowiek.

— Każę ją zaraz przyprowadzić...

Dyrektor nacisnął guzik dzwonka elektrycznego i rzekł do posługacza, który w tej chwili się zjawił:

— Przyprowadzić chorą numer 478.

Nigdy dyrektor nie nazywa obłąkanemi lub waryatami swych pensyonarzy. Zabronił używania u siebie tych strasznych nazw i zastąpił je prostem słowem: chory.

Posługacz wyszedł i zapanowało ciężkie, przytłaczające, bolesne milczenie. Tak upłynęło kilka chwil, które przybyłym wydały się całymi wiekami. Potem drzwi gabinetu znowu się otworzyły i w towarzystwie dwóch biało ubranych infirmerek weszła w szarym kostyumie Ludwika.

Wszyscy powstali. Panajon odwrócił głowę, by nic nie widzieć. Piotr i Ewa patrzyli z szeroko rozwartemi oczami. Biedna obłąkana postąpiła na środek pokoju i spoglądała na te osoby, których już nie poznawała. Potem odwróciła się i skierowała do drzwi. Infirmerki zagrodziły jej drogę.

— Dokąd idziesz, moje dziecko? — zapytał czule dyrektor.

Wszyscy powstrzymali oddech. Ludwika, wahając się, otworzyła usta.

— Piotr... — szepnęła.

Oczy jej jednak zwrócone były na drzwi, a nie na młodego człowieka.

— Tak — rzekł znowu dyrektor — chcesz zapewne iść do pana Piotra Cartelegue'a, prawda?... A więc spojrzyj w tę stronę...

Wskazał palcem na młodego człowieka.

Ludwika usłuchała. Spojrzała na swego przyjaciela i nawet postąpiła krok ku niemu. Lecz jej wielkie szare oczy rozszerzyły się tylko zdumione przed tą nieznaną dla niej teraz postacią, którą jej wskazywano. Potem powróciła znowu do drzwi i chciała usunąć infirmerki, które starały się ją uspokoić. Widząc, że wysiłki jej są daremne, przestała nalegać. Stanęła wyprostowana, nieruchoma, z opuszczonemi w dół rękami i tylko po wychudzonej jej twarzy, spływały wielkie łzy.

Z piersi Piotra dobył się bolesny jęk.

— Uspokój się! uspokój! — szeptał Lewis Jackson, biorąc za rękę młodego człowieka, podczas gdy Panajon, bliski płaczu, zagryzał sobie do krwi drżące wargi, a Joe Smith, nie zdając sobie nawet sprawy z tego, co czyni, klął półgłosem po amerykańsku. Nieszczęśliwy chłopiec był już wyczerpany z sił. Upadł na kolana i pięściami bił się po głowie.

Ewa opadła na fotel i tłumiła łkanie. Dyrektor dał znak i infirmerki, biorąc pod rękę Ludwikę, wyprowadziły ją z gabinetu.

Lewis Jackson z pomocą swego sekretarza podniósł Piotra. Szeptał mu:

— Nie oddawaj się rozpaczy, *my boy!* Musisz być silnym, by się pomścić!

— Pomścić się... — jęknął Piotr. — O, tak! pomścić się!

Panajon to usłyszał. Zbliżył się do rozmawiających i rzekł:

— Jeżeli panowie będą potrzebowali kogo do odarcia ze skóry Dureta, to proszę nie zapominać o mnie!

— Przyjmuję chętnie to oświadczenie — odpowiedział spokojnie amerykanin.

Dyrektor, stojąc przy swem biurku, milczał. Czekał, aż rozpacz Piotra trochę się ułagodzi. Wreszcie młody człowiek zdawał się uspokajać. Pozostał bladym, drżącym, lecz nie czynił już bezładnych gestów.

— Czy mogę się dowiedzieć, kim jest owa chora? — odezwał się dyrektor, zwracając się do wszystkich.

— Jest to sierota, Ludwika Dubois — odpowiedział Lewis Jackson. — Do niedawna była nauczycielką u naszych przyjaciół, baronostwa de Lagunan i tam ją poznaliśmy. Po utracie tego miejsca została prasowaczką.

— Czy domyśla się pan przyczyn jej obłąkania?

— Przyczyny jej obłąkania?... Pewne wypadki, których ta biedna stała się ofiarą, straszne, przerażające wypadki, mogące naruszyć równowagę najsilniejszego umysłu.

— Może mi je pan wyjawić?

— Nie. Muszą one pozostać w tajemnicy.

— Nie nalegam... Czy panna Dubois ma krewnych?

— Żadnych.

— A przyjaciół?

— Nas.

— Bardzo dobrze... panowie będą tak łaskawi i podadzą mi... o ile naturalnie zechcą... swe nazwiska i adresy, abym, jeżeli panna Dubois będzie się czuła lepiej... lub gorzej... mógł o tem zawiadomić...

— Więc ona ma tutaj pozostać?...

— Och! nie!... — błagał Piotr.

Ewa płakała dotychczas w swym fotelu. Teraz wstała i złożyła ręce.

— Niech pan pozwoli nam zabrać ją z sobą! — prosiła.

— Ależ — odparł dyrektor — do świętej Anny nie wchodzi się i nie wychodzi jak z wiatraka... Panna Dubois została do nas przysłana z rozkazu prefektury po uprzedniem lekarskiem zbadaniu w policyi... I teraz, by ją wypuścić, potrzebny jest nowy rozkaz prefekta...

— Pójdziemy do prefekta — rzekł Lewis Jackson.

— Chora nie jest wcale niebezpieczna — mówił dalej dyrektor. — Dam znać do prefektury, że z naszej strony niema żadnych przeszkód do uwolnienia jej... Lecz oprócz względu na bezpieczeństwo publiczne, trzeba brać pod uwagę i wzgląd na samą chorą... Czy ona gdzieindziej będzie miała taką troskliwą opiekę jak tutaj?

— Będzie leczona przez najsławniejszych specyalistów całego świata — odpowiedział Lewis Jackson.

— Dobrze! Lecz u kogo będzie mieszkała?

— U mnie — rzekł amerykanin.

— Tak... u pana... — mówił dyrektor, kręcąc w zakłopotaniu wąsy.

Chciał powiedzieć, a nie wiedział, jak to wyrazić, że sądząc Lewisa Jacksona po jego wyniszczonem palcie i wyrudziałym kapeluszu, nie można mieć nadziei, by chora u niego miała te wygody, jakiemi ją otoczono u świętej Anny.

„Chociaż — myślał — młody Cartelegue prawdopodobnie poniesie koszta jej utrzymania... Biedny król stu dwudziestu koni kocha tę małą... Nie może ulokować jej u siebie... I powierzy ją temu jegomościowi, skromnie ubranemu, lecz o godnej minie..."

Businessman odgadł myśli dyrektora.

Habit nie stanowi zakonnika — rzekł. — Moje ubranie jest zniszczone... Mimo to mam środki na wspomożenie osób, potrzebujących pomocy... Oto moje nazwisko...

Wyjął z portfelu bilet wizytowy i podał go dyrektorowi.

— Przecież pan mi przysłał swą kartę — rzekł dyrektor.

— Tak... Lecz na niej jest nazwisko, pod którem przybyłem do Paryża... Ta karta jest z nazwiskiem, które noszę w Ameryce...

„Lewis Jackson" — przeczytał dyrektor, biorąc do ręki kartę.

Z karty przeniósł oczy na swego gościa, potem znowu przeczytał nazwisko. Po chwili namysłu rzekł:

— Słyszałem o pewnym miliarderze amerykańskim, który tak się nazywa...

— To ja jestem.

— Pan?

— Tak, panie... Mój sekretarz tu obecny, może panu dostarczyć, jeżeli pan sobie tego życzy, dowodów prawdziwości mego nazwiska...

Joe Smith na znak businessmana rozpiął swe drogie futro, wyjął z wewnętrznej [illegible]eni marynarki okazały portfel i wydostając [illegible] zo grubą

pakę banknotów tysiącfrankowych i listów zastawnych, rzekł flegmatycznie:

— Oto najlepsze dowody.

I Piotr Cartelegue, do którego zwrócił się zdumiony dyrektor, potwierdził ruchem głowy, że Julian Maixent jest w istocie Lewisem Jacksonem, krolem złota.

Dyrektor nie wymówił już ani słowa. Ewa i Panajon wydawali się jak zahypnotyzowani.

Nagle milczenie przerwał dźwięk dzwonka telefonicznego.

Dyrektor podszedł machinalnie do aparatu i zdjął słuchawkę.

— Hallo!... Kto?... Pan się pyta, czy pan Julian Maixent jest jeszcze u świętej Anny?... Tak... Właśnie rozmawiamy... Hallo! A kto mówi?... Dobrze.

Dyrektor zawiesił słuchawkę i rzekł do miliardera:

— Pan de Terade prosi, by pan po wyjściu stąd wrócił do siebie.

X.

Maurycy de Terade opuścił fabrykę jednocześnie z Lewisem Jacksonem i jego towarzyszami. Podczas gdy ci skierowali się do świętej Anny, inżynier udał się na ulicę Ampère. Zapytał o pannę de Lagunan i pokojówka wprowadziła go do salonu. Biedny inżynier, oczekując na młodą pannę, siadł i przycisnął obie ręce do piersi w tem miejscu, gdzie serce biło tak silnie, iż to uderzenie było dojmującym bólem, ruch ten jego był zupełnie machinalny. Maurycy nie zdawał sobie nawet sprawy z swego cierpienia. Wiedział tylko o jednej rzeczy, o tym strasznym ciosie, jaki ma zadać Kamilli. Kochał ją ciągle.

Młoda panna dała mu dowody swej okrutnej lekkomyślności. W przeciągu kilku godzin przyrzekła mu swą rękę i cofnęła swe przyrzeczenie z zupełną bezwzględnością. Po oszołomieniu go radością, chociaż niczego nie żądał, pogrążyła go w rozpacz, na którą w niczem nie zasłużył. I pozostał tem tak przybity, tak przygnębiony, iż w śmierci zamyślał szukać ulgi w swych cierpieniach. Ta jednak, która go przyprawiła o takie męki, pozostała w jego oczach świętą. Imię jej było dla niego nadal najsłodszem ze wszystkich imion i będzie je wymawiał, opuszczając życie.

Maurycy właśnie usiadł, gdy wszedł Raul de Lagunan.

— Ach, drogi przyjacielu — odezwał się klubowiec. — Powiedziano mi, że pan jest tutaj... Chciałem skorzystać z tego, by panu uścisnąć dłoń... wyjeżdżam...

— Wyjeżdża pan?

— Dzisiaj wieczorem... albo najpóźniej jutro rano... Im prędzej, tem lepiej, gdy chodzi o wykonanie postanowienia tego rodzaju...

— Dokąd pan jedzie?

— Nie do Asnieres, mój drogi.. Trochę dalej... do Wyższej Ubangi... Do negrów antropofagów...

Maurycy słuchał niedbale pierwszych zdań barona. Ostatnie jednak zwróciły jego uwagę.

— Do Wyższej Ubangi?... — powtórzył.

— Tak, drogi przyjacielu... Jeżeli ci czarni bliźni zgryzą mnie na miazgę, to znaczy, iż więcej im się będę podobał, niż sam sobie.

— Co to ma znaczyć?

— To, że w przeciągu czterdziestu ośmiu godzin zrujnowałem się zupełnie.

— To niemożliwe.

— Niestety! Nie tylko było to możliwe, ale nawet o tyle łatwe, iż wszystkie me dukaty razem wzięte ważyły bardzo mało! Jednem słowem założyłem się, grałem na giełdzie i w karty i z takiem szczęściem, iż teraz muszę wyjeżdżać, nie oczekując na powrót żony, która wydrapałaby mi oczy... Dzisiaj rano zabawiłem się ostatni raz w towarzystwie swych kochanych przyjaciół i tego miłego Karola Turnera... W ten sposób odbiłem sobie wagon samochodowy, który mnie kosztował pięćdziesiąt tysięcy franków... A teraz wracam wprost z zarządu „Towarzystwa afrykańskiego“, które, jak słyszałem, poszukuje urzędników,.. Podpisałem już kontrakt i pojutrze siadam na okręt...

— A panna de Lagunan?...

— Ona zamieszka u swego dziadka...

„A jej dziadek — pomyślał sobie inżynier — jest zbrodniarzem... Wkrótce zniknie... Matka jej już się nie ukaże.. I oto dziecko to, teraz samo na świecie... i biedne...“

— A teraz opuszczam pana — mówił dalej baron — by się zająć przygotowaniami do podróży... Cieszę się, że pana widziałem... Gdy pan będzie przejeżdżał przez Afrykę, proszę nie zapomnieć od wiedzić mnie.

— Po wtórym uścisku dłoni baron obrócił się zręcznie na pięcie i wyszedł. W kilka chwil potem ukazała się Kamilla. Inżyniera ogarnęło teraz wzruszenie, którego nie mógł opanować.

„Sama... biedna...“ — powtarzał sobie.

Jego wielka miłość łączyła się teraz z niezmierną litością. Chciał umrzeć dla tego dziecka, które miało być tak nieszczęśliwem.

— Dzień dobry panu — rzekła młoda panna.

Ton głosu jak i mina jej były zimne... Bała się, by Maurycy nie mówił jej znowu o miłości, nie błagał jej, nie wyrzucał jej dziwnego i okrutnego postępowania...

— Mam pani pewną rzecz do zakomunikowania — odezwał się inżynier, kłaniając się nisko...

Mówił, nie zdając sobie nawet z tego sprawy, po cichu. Słowa z trudem wychodziły mu z gardła. Kamilla domyślała się, co może zwiastować taki wstęp. Jej piękna twarz stała się teraz woskowożółta jak u umarłych. Maurycy nie przychodził jako zakochany, lecz jako zwiastun okrutnych wieści.

Czekała.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Zagadki do nagrody.

Szarada.

Ułożyła B. Rutkowska, Piotrków.

Pierwsze, rzeka włoska
Drugie, samogłoska
A zaimek trzecie,
Więc całość zgadniecie!

Łamigłówka w trójkącie.

Ułożyła B. Rutkowska, Piotrków.

Kwadraty i kreski zastąpić w ten sposób literami, aby wiersz pierwszy pionowy i poziomy utworzyły imię męskie.

□ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □
□ — — — — — — — — — —
□ — — — — — — — — —
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — —
□ — — — —
□ — — —
□ — —
□ —
□

Znaczenie wyrazów: 1 Szukany wyraz. 2. Miejscowość pod Krakowem. 3. Miasteczko w gub. Łomżyńskiej. 4. Miasteczko w powiecie Hrubieszowskim. 5. Miasto w Kroacyi. 6. Osada w gub. kaliskiej. 7. Rzeka hiszpańska wpadająca do Oceanu Atlantyckiego. 8. Rzeka w Anglii. 9. Rzeka we Westfalii. 10. Bóg słońca u Egipcyan. 11. Spółgłoska.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył M. Czeczótka, Podłęże.

Z podanych liter utworzyć znane polskie przysłowie:

Stefa, Tokio, runo, męczył.

Kwadrat magiczny.

Ułożyła Dołężanka, Jordanówka.

Kwadraty i kreski zastąpić literami. Litery umieszczone w miejsce kwadratów, czytane z góry na dół, utworzą nazwisko znanego polskiego rzeźbiarza.

□ — — — — —
— □ — — — —
— — □ — — —
— — — □ — —
— — — — □ —
— — — — — □

Znaczenie wyrazów: 1. Herb polski. 2. Papuga. 3. Imię męskie. 4. Roślina. 5. Narzędzie gospodarskie. 6. Instrument muzyczny.

Zadanie krzyżowe.

Ułożyła K. Turecka, Tarnopol.

Litery, odpowiednio uporządkowane, utworzą trzy równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym wyrazy.

a a a
a a a
a b b
c c e e e e e e e
e f f l l l l l l
m m n n n n o o r
r r r
t t y
y y y

Znaczenie wyrazów: 1. Miasto we Włoszech. 2. Imię żeńskie. 3. Rodzaj sera.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył M. Czeczótka, Podłęże.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Kuroki, wy, kowale, koki, nurek.

Kwadrat magny.

Ułożył J. Merta, twina.

W pola umieszczonego poniżej adratu wpisać liczby od 188 do 212 w ten sposób, aby sur rzędów pionowych, poziomych i wzdłuż obu przekątni wy iła 1000.

202				196
		200		
204				198

Łamigłówka.

Ułożył M. Czeczótka, Po e.

Środkowe litery, czytane z góry na ł, utworzą znane polskie przysłowie:

— ot
j — t
ze —
— il
g — j
pa —
— ał
r — j
wu —
— ad
i — a
źl —
— az
k — s

Za dobre rozwiązanie wszystkich powy ch zagadek przeznacza Redakcya do rozlowania *Rusticusa* ly z dworu wiejskiego.

„HOTEL NARODOWY“

Kraków, ul. Poselska L. 22.

Po przejściu na innego właściciela **gruntownie zewnątrz i wewnątrz odrestaurowany.** Pokoje na parterze i piętrze nowo urządzone, parkiety, światło elektryczne, korytarze ogrzewane. Restauracya, łazienki, telefon i stajnia w miejscu.

Cena pokoi ze światłem i usługą od 2 koron w zwyż.

Magazyn Krawiecki

M. Czaji i W. Rechowicza KRAKÓW Mikołajska L. 24.

Materyały i krój angielski, wykończenie artystyczne

Żadna pani nie oprze się pokusie

ażeby czegoś nie zamówić, skoro ujrzy te wspaniałe nowości w zefirach, barchanach, voilesach, satynach, jedwabiach, atłasach, oxfordach, damastach, kanewasach, obrusach, ręcznikach i rozmaitych płótnach.

Proszę zażądać wspaniałej kolekcyi wzorów wiosennych, jak i wszelkich płócien i towarów bawełnianych, którą każdemu **darmo i oplatnie przesyłamy.**

Wszelkie wyprawy ślubne, hotelowe dla sanatoryów etc.

Tkalnia i Dom wysyłkowy pierwszej rangi

Braci Krejcar, Dobruška (9202) Czechy

Proszę zamówić na próbę:

30 m. pięknych zebranych resztek K 18·—
6 prześcieradeł wielk. 150/200 cm. tylko „ 14·—

Nieodpowiednie przyjmujemy z powrotem.

Najtańsze maszyny

do robienia pończoch

w Austro-Węgrzech dostarcza Dom wysyłkowy

J. F. Nouzàk, Praga

(Czechy) **Riegerquai 24/47.**

Cenniki darmo. Dzienny zarobek 4 korony.

8 dni na próbę!

Nie kupujcie zegarków bez wypróbowania.
Wysyłam każdemu za zamówieniem prawdziwy 14-kar. złoty-plaque-męzki zegarek z podwójnym płaszczem za cenę **Kor. 20.**
Przy zamówieniu płaci się tylko połowę, a po czasie próby resztę, — Gwarancya 3-letnia.
Zamówienia przyjmuje

Joh. Weiner, Wiedeń XIX/1

Boschstr. 2/7.

Najlepsze czeskie źrodło!



Tanie pierze

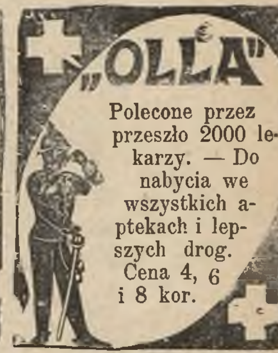
1 klg. **szarego** dartego kor. 2, lepszego gatunku K 2·40, najlepszego gatunku **nawpół białego** K 2·80, **białego puchowego** K 5·10, 1 klg. **śnieżnobiałego** dartego w najlepszej jakości K 6·40, K 8, 1 klg. **szarego puchu** K 6, K 7, **białego** K 10, najlepszego puchu **brzusznego** K 12.

Przy odbiorze od 5 klgr. wysyłka franko.

Gotowe pierzyny z grubonicianego czerwonego, niebieskiego, białego lub żółtego miletu (Nanking), 1 **pierzyna** 180 cm. dług. 120 cm. szer. z dwoma poduszkami każda 80 cm. dług. 60 cm. szer., dostatecznie wypchane nowem, szarem, czyszczonem, jędrnem i trwałem pierzem K 16. **półpuchem** K 20, **puchem** K 24, sama pierzyna K 10, 12, 14, 16, poduszka K 3·—, 3·50, 4·—, pierzyny o 200 cm. dług. 140 cm. szer. K 13, 14·70, 17·80, 21, poduszki 90 cm. dług. 70 cm. szerok. K 4·50, 5·20, 5·70. Podściółki z mocnego gradlu 180 cm. dług. 116 cm. szer. K 12·80. 14·30. — Wysyłka za zaliczką, od 12 kor. z bezpłatnem opakowaniem. — Zamiana dozwolona, za nienadające się zwracamy pieniądze. — **Dokładne cenniki darmo i opłacone.**

S. Benisch w Deschenitz Nr. 757 (Czechy).





Kolekcya okazya 12 szt. sortow. 5 kor.

Proszę obstawać przy tem, aby dostawca sprzedawał prawdziwe „OLLA“. — Zajmujący, pouczający i oryginalny cennik z podaniem składów bezpłatnie przez

„OLLA“ Gummi-Centrala, Wiedeń II/309

Praterstrasse 57.

Między innymi można nabyć **„OLLĘ“ we Lwowie: w aptekach** Alojz. Hubnera, H. Rubla, J. Beisera, Ad. Aschkenazego, N. Dobrzańskiego, F. Dewechy'ego, J. Piepes-Poratyńskiego, A. Ehrbara, **w drogueryach:** Mikolascha i Sp., J. Rechena, H. Grunspana. Al. Hubnera, A. Beacoka, I. Fruchtmana, A. Oberhardta, Sidhoff i Grabowsky.

W Krakowie w aptekach: M. Pronia, K. Wiszniewskiego, N. Gralewskiego, Max. Redyka, Stan. Jakubowskiego, **w drogueryach:** R. Drobnera, Reima i Ski, I. Hanaka i Ski, Zopota i Ski, A. Mikuckiego, Arn. Reifera, A. Pachuckiego M. Doskowskiego, J. Wiśniewskiego.

w Bochni: u. J. Michnika; **w Brodach:** u. L. Kallira, M. W. Zimelsa;
w Kołomyi; u aptekarza E. Stenzla;
w Tarnopolu; u J. Freudenthala, Dr. Franzosa, O. Hellmanna;
w Tarnowie; u J. Niesiołowskiego, W. Bracha, L. Gostkiewicza;
w Przemyślu; M. Schwarza i F. Wojciechowskiego oraz we wszystkich aptekach i lepszych drogueryach.

Szczególnie wyborowe gatunki „OLLA“ specyalności dla panów;
Nr. 1203 najlepszej jakości tuzin 6 kor.
Nr. 1204 „ „ tuzin 8 „

Do Ameryki i Kanady



przeprawia najlepiej

Linia Kunard we Lwowie, ul. Gródecka **99.**

Cena przeprawy okrętem 180 Koron. — Uważajcie na Nr. 99.

Odjazd z portu **w Tryeście: Pannonia:** d. 15 marca 1911, **Carpathia:** dnia 25 marca 1911, **Ultonia:** d. 11 kwietnia 1911.
Z Liwerpolu: Lusitania: (największy i najwspanialszy parowiec świata) dnia 8/4, 29/4, 20/5, 10/6, 8/7 1911.
Maurytania: dnia 25/3, 22/4, 13/5, 3/6, 24/6, 22/7 1911.



Szyk i elegancyę kobiety poznaje się nie tyle po sposobie jej ubrania, ile po gatunku używanych stale przez nią perfum. Jeśli Pani zechce posługiwać się **Cremem Simona,** z pewnością otrzyma nagrodę za elegancyę. **Pudre de Riz Simon** o zapachu fiołków i heliotropów uzupełnia cudowne działanie **Cremu Simona.**

Pierwszorzędna piekarnia maszynowa

„SPORT“

Bol. BROSZKIEWICZA

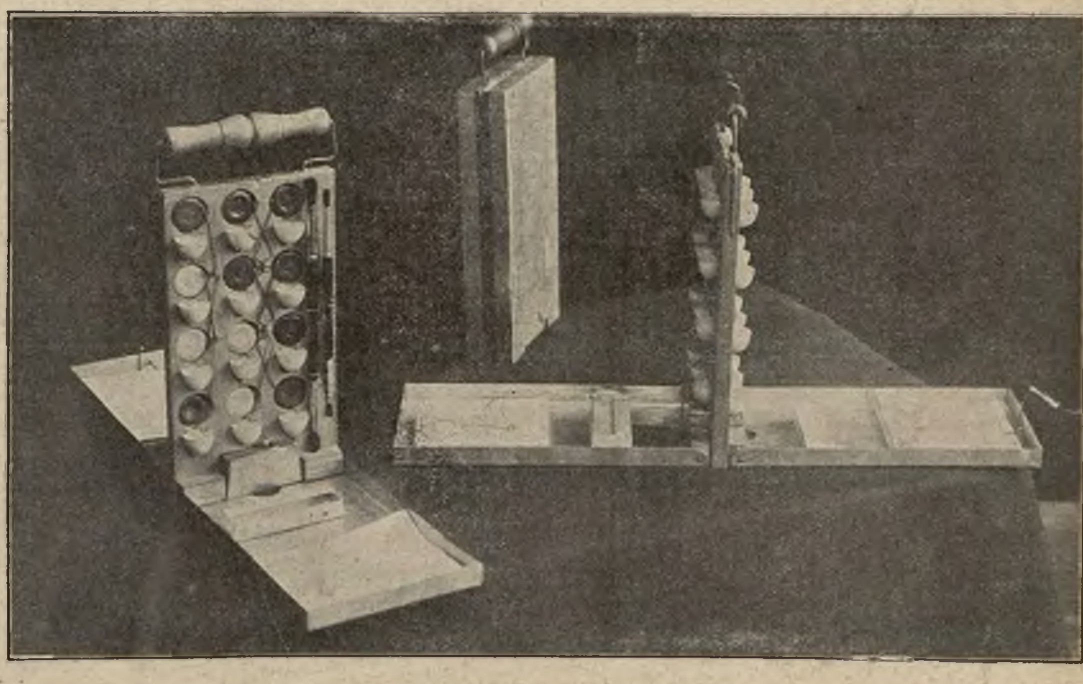
w Krakowie, ul. Szlak L. 43

(DOM WŁASNY).

Piekarnia urządzoną została według **najnowszych wymagań hygieny,** **znana z dobroci pieczywa.**

Nagrodzoną była na wystawach piekarskich medalami złotymi i dyplomami w Wiedniu, Paryżu, Berlinie, Temeszwar i Warszawie.

FILIE: Sławkowska 3, Floryańska 3, Karmelicka 20, Szpitalna 21, Gertrudy vis a vis hotelu Royal (Misyonarze) Sebastyana 34, Św. Anny 4, Lubicz, hotel Europejski, Starowiślna 31, w Podgórzu Kalwaryjska 6.



ALFRED TRIEBLING skład kasetek na farby „IRENA“ w N. SĄCZU.

Roczniki z 1910 r.

„Nowości Illustrowanych“

są jeszcze w niewielkiej ilości do nabycia
w Administracyi tegoż pisma
w Krakowie, XV., ulica Nowowiejska L. 83
Przesyłka za poprzedniem nadesłan. K 16.

Pierwszorzędna Pracownia

SUKIEN MĘSKICH

Leona Grabowskiego

Materyały i krój angielski

właściciel firmy: **Gabryel Grabowski**

Wykończenie artystyczne.

w Krakowie, ulica Szpitalna L. 36. Telefon Nr. 581.

Lwów ul. Halicka 21 :: **Lalki, Zabawki, Nowości** w Galanteryi, Mydła, Perfumerye Tlenu i francuskie poleca **Klinika i ubieralnia lale[k]**

...dzialny: Stanisław Lipiński. Klisze z własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.